Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 12 (1215) ROK XXIV 22 MARCA 1981 R. CENA 3 ZŁ

Henryk Czarnecki

BEŁCHATÓW na drugim planie

— Celem podstawowym — mówi główny inżynier d/s inwestycji, mgr inż. Jerzy Gramatyka jeden z pionierów budowy kopalni pracujący tu od 1973 roku i będący żywą kroniką tej budowy — jest produkcja tak potrzebnej krajowi energii elektrycznej. Lokalizacja tej elektrowni została podyktowana odkryciem, na początku lat sześćdziesiątych, bogatych złóż węgla brunatnego, najtańszego dotąd paliwa. Nim jednak popłynie prąd z elektrowni, nim górnicy wydobędą pierwszy węgiel, dokonać trzeba było, nieznanych dotąd na tę skalę, przedsięwzięć technicznych: przełożenia prawie trzykilometrowego odcinka rzeki Widawki do nowego koryta, zbudowania potężnego systemu odwodnienia bełchatowskiego złoża przy zastosowaniu ponad trzystu głębinowych studzien o głębokości około 250 m, budowy zaplecza techniczno-usługowego kopalni, budowy układów technologicznych jakich dotąd w polskim górnictwie nie stosowano. Równocześnie należało zdjąć 150 mln m sześc. (co już zrobiono) nadkładu ziemi, aby udostępnić pierwszy węgiel, co wcale nie oznacza, że kopalnia może już rozpocząć normalną eksploatację. Znane powszechnie trudności gospodarcze polegające m. in. na braku dostaw sprzętu technologicznego i transportowego, braki części zamiennych do urządzeń i maszyn, nie ominęły tej największej i priorytetowej w kraju inwestycji. Spowodowało to wielomiesięczne opóźnienia. Warunkiem wydobycia węgla w ilościach niezbędnych dla pracy trzech pierwszych bloków energetycznych jest natychmiastowe wyeliminowanie braków.

Biorąc pod uwagę zarówno pilne potrzeby energetyki, jak i fakt że dotychczasowa budowa samej tylko kopalni pochłonęła już 25 mld złotych, trzeba szybko znaleźć radykalne sposoby, ażeby wznoszony tak ogromnym wysiłkiem całego społe-

(Dalszy ciąg na str. 6)

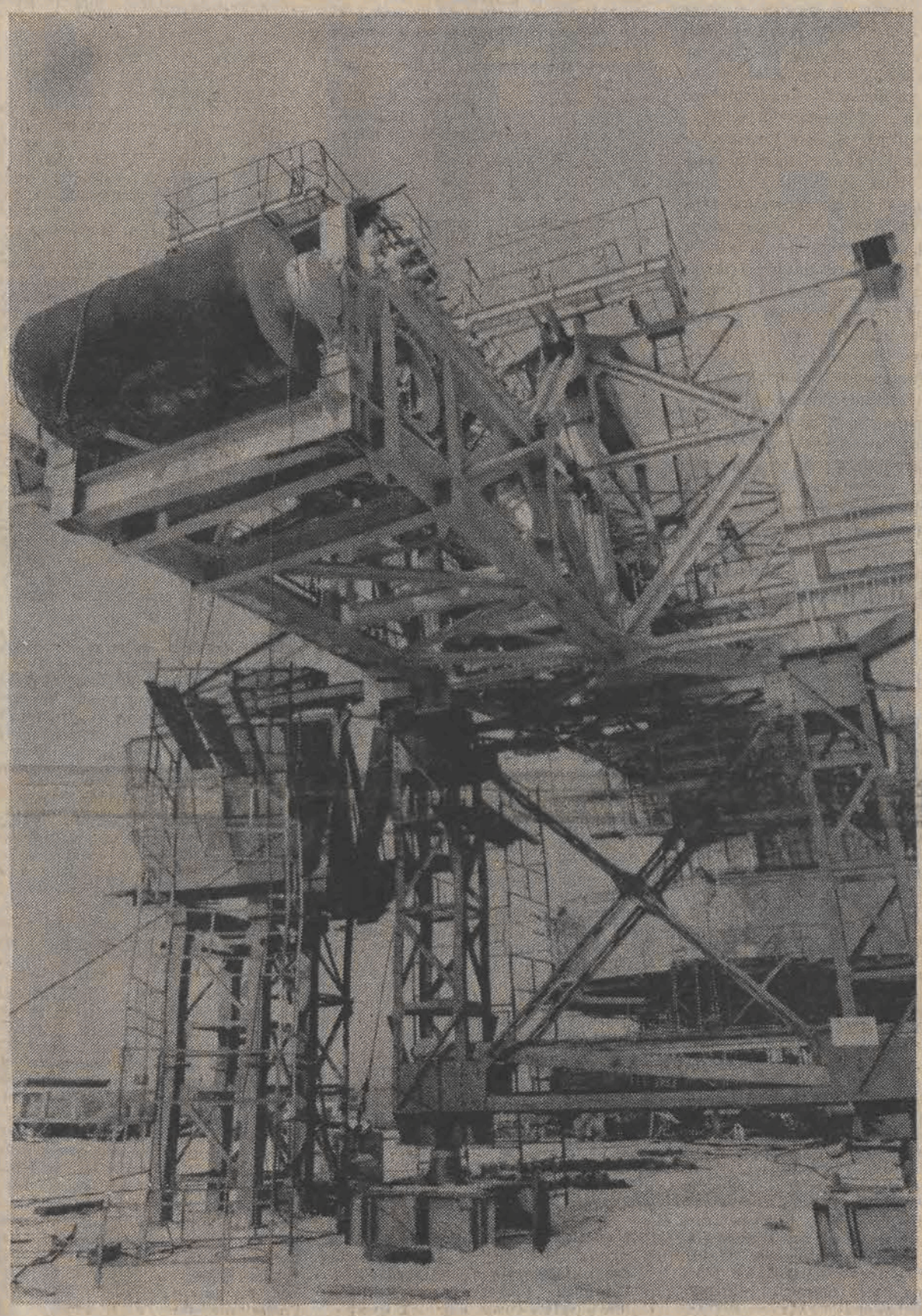

Foto: R. Łucyszyn

Ryszard Binkowski

barwy wiosny

Coraz więcej zjawisk w przyrodzie świadczy, iż nadciąga wiosna. A na rynku żywnościowym coraz gorzej. Wprawdzie teraz na przedwiośniu, nie sposób zwiększyć dostaw surowców niezbędnych w produkcji żywności, ale rzecz w tym, że nie potrafimy należycie wykorzystać zapasów z roku ubiegłego. **Paradoksy cenowe, o których napomyka się wstydliwie, półgębkiem, powodują, że właściciele małych zakładów rzemieślniczych, które mogłyby tanio, lepiej i szybciej produkować artykuły spożywcze, nie są zainteresowani uruchamianiem produkcji.** Mogłoby np. być więcej mąki, kasz, chleba, ale prywatni młynarze nie mają szans na uruchomienie starych młynów, bo nie wiadomo, czy warto je remontować, szukać części zamiennych, gdyż zlecenie na przemiał może się okazać krótkoterminowe. A poza tym interes jest nieopłacalny, ponieważ cena kilograma mąki jest dwa razy niższa od ceny zboża.

U progu wiosny, która w opinii najczarniejszych pesymistów będzie najtrudniejszą wiosną rolniczą w Polsce Ludowej, **należy się martwić, czy w br. uzyskamy odpowiednią ilość surowców na produkcję żywności.** Do 10 marca rolnicy zakontraktowali (w skali kraju) 70 proc. planowanego areału buraków cukrowych, 70 proc. wczesnych ziemniaków, 71 proc. owoców, 57 proc. zbóż, 64 proc. ziół i 72 proc tytoniu. Danych na temat kontraktacji żywca na razie się nie publikuje. Wiadomo jednak, że styczniowy spis rolny wykazał znaczny spadek pogłowia owiec, trzody chlewnej i bydła. Państwo proponuje rolnikom bonifikatę przy zakupie loch i jałówek zarodowych.

(Dalszy ciąg na str. 5)

Lucjusz Włodkowski

PARTIA I PRASA

W toczącej się w partii o partii dyskusji od spraw natury ogólnej, od precyzowania pojęć i przywracania im właściwego znaczenia, przechodzi się obecnie do rozważań konkretnych. Jeżeli partia ma w państwie, a co zatem idzie i w społeczeństwie wypełniać przewodnią rolę, to wobec tego trzeba precyzyjnie określić, jaki na przykład powinien być zakres oddziaływania partii na sprawy gospodarcze. A więc pod dyskusję oddany zostaje stosunek partii do spraw gospodarczych.

Przedyskutowania wymaga między innymi problem prasy partyjnej. Gazety partyjne, poszukujące obecnie nowej formuły, spotykają się z bardzo różnym przyjęciem. Jedni je chwalą, za świeżość, za twórcze poszukiwania, za coraz pełniejszą i rzetelną informację, za dyskusyjność publicystyki, za udostępnianie łamów robotnikom, działaczom partyjnym, teoretykom życia partyjnego. Inni ganią za rozwichrzenie poglądów, za nadmierną ich różnorodność, za brak precyzyjnie określonego stanowiska, za przewagę relacji nad komentarzem, wręcz za „rewizjonizm" i uleganie naciskom „Solidarności". Kto ma rację? Jak dziś powinna wyglądać gazeta partyjna? Odpowiedź na te pytania wymaga dyskusji, wymaga poszukiwań. Proszę więc te kilkanaście różnych refleksji na ten temat traktować jako przyczynek, jako udział w partyjnej dyskusji na temat partyjnej prasy.

1. Zetknąłem się ostatnio z dwoma bardzo skrajnymi opiniami. Mają one w dyskusji o prasie partyjnej niebagatelne znaczenie.

(Dalszy ciąg na str. 3)

Henryk Nakielski

w intencji obrony praw mego kraju

Za zgodą autora przedrukowujemy z „Przeglądu Technicznego — Innowacje", obszerny materiał dotyczący sprawy znanej jako sprawa Petrysa".

„Nagrody Państwowe — przypomniało „Życie Warszawy" 17 lipca 1980 roku — *najwyższy wyraz uznania ojczyzny dla najwybitniejszych twórców wiedzy, techniki i kultury, którzy wnieśli największy wkład w dorobek gospodarczy, naukowy i kulturalny kraju, przyznawane są co dwa lata".*

Uroczystość wręczenia Nagród Państwowych w roku 1980 miała godną oprawę. Korespondenci PAP relacjonowali:

„Pałac Rady Ministrów w Warszawie, w którym 16 bm. odbywa się uroczystość wręczenia Nagród Państwowych. Przybywają: I Sekretarz KC PZPR Edward Gierek, przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński i prezes Rady Ministrów Edward Babiuch oraz prezes NK ZSL Stanisław Gucwa, przewodniczący CK SD Tadeusz W. Młyńczak, członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR... Zebranych powitał w imieniu Komitetu Nagród Państwowych zastępca przewodniczącego Komitetu, sekretarz naukowy PAN, proj. Jan Kaczmarek..."

Nie wiemy, czy ktoś z czytających tę relację, powielaną nazajutrz w tysiącach egzemplarzy, wybitą na czołówkach dzienników, zwrócił uwagę na pozornie mało istotny szczegół — na to, że najwyższych dostojników państwowych i partyjnych przybyłych na tę uroczystość aby swoją obecnością nadać jej rangę najwyższą, witał nie przewodniczący Komitetu Nagród Państwowych, lecz jego zastępca. W przypadku oficjalnych uroczystości jest to przecież wcale nie tak mało istotne uchybienie protokołu. Czyżby przewodniczącego Komitetu nie było wówczas w reprezentacyjnej sali Urzędu Rady Ministrów? Dalszy ciąg relacji zda się to przypuszczenie potwierdzać — nazwisko przewodniczącego KNP nie pada w niej ani razu, choć sprawa ta nie znajduje żadnego w niej wyjaśnienia, w najmniejszym stopniu nie mąci podniosłego tonu dziennikarskiego sprawozdania.

Nieobecność przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych na uroczystości wręczenia Nagród, uroczystości stanowiącej ukoronowanie prac komitetu, niemalże sens jego istnienia, nie zamąciła również samej uroczystości, przebiegającej gładko, jak dobrze wyreżyserowany spektakl. I tylko niektórzy z obecnych na sali rozumieli jej znaczenie, zdawali sobie sprawę, że jest ona zgrzytem w tym podniosłym momencie, symbolicznego hołdu składanego przez społeczeństwo za pośrednictwem swych przywódców, twórcom narodowej kultury i nauki. Tym nieprzyjemniej brzmiącym, że człowiekiem, który nie przybył, choć z racji pełnionej funkcji powinien odegrać rolę współgospodarza tej uroczystości, był uczony cieszący się niepodważalnym w środowisku naukowym autorytetem, przez wiele lat przewodzący temu środowisku. Wiedzieli o tym przede wszystkim obecni na sali członkowie Komitetu Nagród Państwowych. Ich bowiem, w pierwszej kolejności informował o swojej decyzji prof. dr *Janusz Groszkowski*. W liście skierowanym do członków Prezydium Komitetu 20 marca 1980 roku pisał: *„W związku z ponowną akcją zniesławiania mnie przez kilkakrotnie karanego przestępcę Tibora Petrysa — zawieszam pełnienie funkcji przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych do czasu ukończenia postępowania przez właściwe organa wymiaru sprawiedliwości".*

Wyjaśniając motywy swojej decyzji, informował:

„Jako przewodniczący KNP zwróciłem się w dniu 29 stycznia 1980 roku do Premiera P. Jaroszewicza, którego to Urzędowi podlega Komitet, komunikując o ponownej akcji zniesławienia mnie przez ukaranego już za to sądownie Tibora Petrysa i prosząc go, o zajęcie stanowiska w tej sprawie. W dniu 19 lutego 1980 r. ponowiłem swe wystąpienie do Premiera E.

(Dalszy ciąg na str. 4)

KRONIKA KULTURALNA

25 LUTEGO odbyło się walne zgromadzenie członków liczącego 80 osób łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Zgromadzenie wybrało nowego prezesa — którym została **Elżbieta Kajzer** — oraz zarząd Oddziału SHS. Na pierwszym zebraniu zarządu w dniu 9 marca podzielono obowiązki między jego członków. Wiceprezesami zostali **Wojciech Walczak i Tomasz Hubert Orłowski**, sekretarzem **Marta Ertman**, skarbnikiem **Bronisław Podgarbi**, a członkami zarządu **Antoni Szram, Andrzej Majer i Leszek Kajzer.**

Jednocześnie walne zgromadzenie wybrało delegatów Oddziału na walny zjazd krajowy SHS, którymi zostali **Wanda Nowakowska Antoni Szram i Jerzy Wolski**, a także zgłosiło akces do Rady Stowarzyszeń i Związków Twórczych.

NA ZAPROSZENIE organizatorów VII Opolskich Konfrontacji Teatralnych, które są przeglądem najlepszych przedstawień klasyki polskiej, **Teatr Nowy** wystąpi 21 marca ze swoją najnowszą premierą — z głośnymi już „Uciechami staropolskimi" w opracowaniu dramaturgicznym i reżyserii **Kazimierza Dejmka** i scenografii **Jana Polewki.**

Przypomnijmy, że po raz pierwszy Teatr Nowy brał udział w III Konfrontacjach w 1977 r., przywożąc do Opola złożony z anonimowych tekstów staropolskich przez Kazimierza Dejmka i przez niego wyreżyserowany „Dialogus de Passione..." ze scenografią Zenobiusza Strzeleckiego.

Bardzo gorące przyjęcie tego widowiska potwierdziła główna nagroda jury Konfrontacji dla Kazimierza Dejmka oraz nagrody za grę aktorską: dla Bogdana Baera za rolę Woźnego i Bogusława Sochnackiego za rolę Judasza.

23 MARCA gościć także będzie w Opolu Teatr im. Jaracza z „Pamiątkami Soplicy" wg H. Rzewuskiego w opracowaniu dramaturgicznym i reżyserii **Mikołaja Grabowskiego**, ze scenografią **Jacka Ukleja** i muzyką **Józefa Rychlika.**

Teatr Jaracza brał udział w opolskich konfrontacjach dwa lata temu ze „Spiskiem koronacyjnym" w reżyserii Jana Maciejowskiego przywożąc nagrodę dla **Wirgiliusza Grynia** za rolę Wielkiego Księcia.

NOWE WŁADZE wybrano w łódzkim oddziale SPATiF-ZASP podczas nadzwyczajnego zebrania sprawozdawczo-wyborczego w dniu 16 bm. Oto skład Zarządu: **Piotr Krukowski** — przewodniczący, **Ludwik Benoit i Henryk Maruszczyk** — wiceprzewodniczący, **Maria Niedźwiecka** — skarbnik, **Andrzej Jędrzejewski** — sekretarz **Ryszard Dembiński i Józef Zbróg** — zastępcy członków Zarządu. Wybrano również sąd koleżeński i komisję rewizyjną.

W trakcie dyskusji krytycznej ocenie poddano stan łódzkiego środowiska teatralnego i efekty jego pracy.

DO FRANCJI wyjechał zespół Filharmonii Łódzkiej. Podczas czterech koncertów w Ville d'Avrey, w Chatillon i w Paryżu, łódzcy filharmonicy przedstawią dwa programy, w których przewidziano duży udział utworów kompozytorów polskich, m.in. Chopina Szymanowskiego, Paderewskiego, Szabelskiego, Kilara.

Jest to trzynaste zagraniczne tournee Filharmonii Łódzkiej.

TRZYDZIESTOLECIE istnienia obchodziły w ub. poniedziałek Państwowe Liceum Muzyczne im. H. Wieniawskiego oraz Podstawowa Szkoła Muzyczna w Łodzi. Z tej okazji w siedzibie szkoły przy ul. Sosnowej odbył się uroczysty koncert.

NOWE PREMIERY: Teatr Powszechny wystąpił ze „Zbrodnią i karą" Dostojewskiego. Teatr Nowy (na Małej Sali) z jednoaktówkami Mrożka: „Czarowna noc" i „Karol". Teatr im. J. Tuwima z „Moralnością pani Dulskiej" Zapolskiej.

SPAM W SPRAWIE FILHARMONII I MUZEUM SZTUKI

Na Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków w dniu 1 marca 1981 roku wybrany został Zarząd Oddziału w następującym składzie: prezes — **Mirosław Pietkiewicz**, wiceprezesi — **Zbigniew Szymonowicz, Józef Cieplucha**, sekretarz — **Jolanta Smolska**, skarbnik — **Stefan Szczech**, członkowie Zarządu — **Bożena Szymonowicz, Adam Wierzba, Antoni Wierzbiński, Bogusław Wódka**, z-cy czł. Zarządu — **Krystyna Abramowicz, Kazimierz Dębski.**

Na tymże zebraniu przyjęto jednomyślnie uchwałę następującej treści:

Walne Zebranie Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków w dniu 1 marca 1981 roku wypowiada się zdecydowanie za absolutną koniecznością podjęcia natychmiastowych starań o budowę w Łodzi w najbliższym okresie nowych gmachów dla potrzeb Filharmonii i Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Wymaga tego wielkość długoletnich zaniedbań w sferze zabezpieczenia elementarnej bazy kulturalnej instytucji artystycznych i potrzeb kulturalnych społeczeństwa drugiego miasta w Polsce, jak też potrzeb działających w Łodzi zespołów artystycznych i istniejących zbiorów.

Uważamy za niedopuszczalne stawianie rozwiązań alternatywnych typu Filharmonia lub Muzeum, co prowadzić może do niedopuszczalnego antagonizowania środowisk artystycznych.

Wypowiadamy się zdecydowanie przeciwko podejmowaniu obecnie remontu dotychczasowej siedziby Filharmonii uznając bezcelowość przeznaczania w tej chwili znacznych środków finansowych na przedsięwzięcie, które nie może być uznane za docelowe. Przewidziane na ten remont środki należy bezwzględnie przeznaczyć na nową inwestycję.

WITOLD KASPERKIEWICZ

ZADŁUŻENIE A MORATORIUM

Jedną z najbardziej spektakularnych miar głębi naszego kryzysu gospodarczego jest poziom zadłużenia, lub innymi słowy — wysokość deficytu w bilansie płatniczym kraju. Stanowi on, w istocie rzeczy, tylko wierzchołek góry lodowej, pod którą kryją się rozmaite sprawy z dziedziny polityki gospodarczej i systemu funkcjonowania gospodarki. Obecnie jedynie ignoranci mogą polemizować z tezą, iż ogrom deficytu płatniczego jest wypadkową błędnej i nonszalanckiej polityki ekspansji inwestycyjnej lansowanej w latach 70 oraz anachronicznego systemu funkcjonowania gospodarki narodowej. Bezpowrotnie stracił swą moc propagandowy chwyt, że przyczyny kłopotów Polski w handlu zagranicznym tkwią głównie na zewnątrz naszego systemu gospodarczego (zła koniunktura, dyskryminacja handlowa etc.). Źródła krachu tzw. aktywnej polityki kredytowej minionego dziesięciolecia zostały już względnie dobrze opisane w periodykach ekonomicznych i rozpoznane przez gremia ekspertów. Dlatego też ograniczę się do przytoczenia znamiennej wypowiedzi jednego z ówczesnych wicepremierów, który na stwierdzenie, iż gospodarka przekroczyła normalny poziom zadłużenia, odpowiedział publicznie: „My będziemy brać jak najwięcej niech oni się o to martwią". Wypowiedź ta świadczy dobitnie o nieodpowiedzialności i arogancji twórców polityki „dynamicznego rozwoju".

W obecnej, niezmiernie trudnej sytuacji gospodarczej kraju, fascynacja przeszłością powinna ustąpić miejsca dociekaniom o pragmatycznych rozwiązaniach łagodzących ostry kryzys. Na kanwie dyskusji o naszym zadłużeniu i metodach wyjścia z tego stanu wyłonił się problem moratorium. Mass media podchwyciły ów temat i stworzyły warunki do wymiany poglądów. Od samego początku tej dyskusji narosło wokół problemu moratorium wiele nieporozumień, kontrowersji i uproszczeń. Zarysowały się krańcowe stanowiska; jedni upatrywali w moratorium cudowne lekarstwo na naszą impotencję płatniczą, drudzy zaś potraktowali moratorium jako zalecenie znachorów. Wielce symptomatyczne jest, iż przedstawiciele rządu jeszcze w listopadzie ubiegłego roku dość stanowczo odcinali się od pomysłów sugerujących moratorium. Twierdzili oni, że Polska „spłacać będzie kredyty z dokładnością zegarka szwajcarskiego". Jednakże pod wpływem twardych realiów podejście rządu do kwestii moratorium uległo korzystnej ewolucji, tzn. włączono to rozwiązanie do arsenału narzędzi łagodzenia napięć w bilansie płatniczym kraju. Negocjacje w sprawie uzyskania moratorium na część naszych długów dały już określone efekty — **otrzymaliśmy zgodę ZSRR na odroczenie spłaty kredytów do r. 1985.** Poza tym podjęliśmy rokowania z wierzycielami reprezentującymi kapitał zachodni. Można przypuszczać, że nie przebiegają one w sielankowej atmosferze, gdyż strona zachodnia domaga się jasnych i zdecydowanych gwarancji naszej wypłacalności, opartych na perspektywicznym programie normalizacji sytuacji gospodarczej Polski.

Pojęcie moratorium otrzymało więc prawo obywatelstwa w słowniku naszej polityki gospodarczej. Fakt ów skłania do zastanowienia się nad istotą moratorium, realnymi korzyściami, a także ewentualnymi negatywami wypływającymi z zaakceptowania tego rozwiązania. Przed wyjaśnieniem meritum należy uporządkować sprawy pojęciowe, gdyż w publicystyce traktującej o problemie moratorium występuje częstokroć bałagan semantyczny. Idzie o to że niekiedy utożsamiane są pojęcia „moratorium" i „repudiacja". Różnica między tymi określeniami jest bardzo istotna. Moratorium oznacza odroczenie za zgodą wierzyciela na określony czas terminu płatności, ustanowione ze względu na nadzwyczajne okoliczności, w jakich znalazł się dłużnik. Natomiast repudiacja polega na jednostronnym zawieszeniu spłat, na odmowie zapłacenia długu. W tym przypadku wierzyciele mogą zajmować należności dłużnika w bankach zagranicznych, a nawet zajmować jego statki, wpływające do obcych portów. **Należy więc uznać za szaleńcze te rozwiązania, w których postuluje się potrzebę ogłoszenia jednostronnego moratorium, będącego w istocie rzeczy repudiacją.** Pomieszanie pojęć w tym konkretnym przypadku prowadzi do formułowania nonsensownych propozycji.

*

Wynegocjowanie moratorium na część naszego zadłużenia jest zabiegiem koniecznym z punktu widzenia stabilizacji i przebudowy gospodarki narodowej. Podstawową przesłankę odroczenia spłaty kredytów stanowi niewydolność płatnicza kraju, innymi słowy pustka w kasie Banku Handlowego. Czy może istnieć alternatywne rozwiązanie w sytuacji gdy gospodarka przekroczyła dopuszczalny próg zadłużenia, terminy spłaty nieubłaganie się zbliżają a kasa państwowa świeci pustkami? Zadłużenie, które niczym wielki garb uciska całe społeczeństwo osiągnęło zawrotną kwotę 24—25 mld dolarów. Obrazowo rzecz ujmując jest to suma zbliżona do kosztów programu „Apollo" w USA. Przyjmując że stopa procentowa przekracza średnio 10 proc. rocznie samych odsetek płacimy ponad 2,5 mld dol. rocznie. Jest to potężne obciążenie dochodu narodowego, z którego nie osiąga się nowych wartości. Przy założeniu, że aby uzyskać 1 dolara, którym później spłaca się odsetki, należy wyeksportować towar o koszcie 45 złotych, otrzymamy kwotę przekraczającą znacznie 100 mld zł obiegowych.

Kłopoty płatnicze gospodarki polskiej potęguje fatalna wręcz struktura zadłużenia, na którą składają się kredyty zróżnicowane w sensie ich przeznaczenia na określone cele i terminów płatności. Z szacunkowych obliczeń ekspertów (np. doc. **W. Rydygiera** z Instytutu Finansów) wynika, że na import maszyn i urządzeń wydaliśmy ok. 20 proc. kredytów wykorzystanych w latach 70 na import zboża i pasz około 14 proc., a około 66 proc. na zaopatrzenie materiałowe. Wskutek tego, że lwią część naszego zadłużenia pochłonął import dóbr zaopatrzeniowych oraz artykułów rolnych terminy spłaty kredytów są względnie krótkie. Zgodnie z zasadami obowiązującymi w międzynarodowych stosunkach finansowych na zakupy płodów rolnych, surowców i materiałów można uzyskać kredyt 2- lub 3-letni. Kredyty długoterminowe przyznawane są na cele inwestycyjne (zakup linii technologicznych, maszyn, urządzeń).

Z analizy przedstawionych danych wypływa konkluzja, że **głównym problemem płatniczym naszej gospodarki jest import zaopatrzeniowy,** który stanowi podstawowy warunek sprawnego funkcjonowania przemysłu. Ze względu na bardzo wysoką importochłonność przyrostu dochodu narodowego i silne uzależnienie wzrostu eksportu do zagranicznych dóbr zaopatrzeniowych, zastosowanie cięć importowych negatywnie wpływa na możliwości wzrostu produkcji. Cięcia te najsilniej uderzają w produkcję eksportową, która jest bardziej importochłonna niż cała produkcja. Chcąc więc utrzymać gospodarkę w ciągłym ruchu, należy importować niezbędne surowce i materiały i tym samym powiększać zadłużenie. W przekonaniu wielu ekonomistów dalszy wzrost zadłużenia kraju jest nieuchronny. Powstają w związku z tym poglądem zasadnicze pytania: jak długo trwać będzie wzrost deficytu płatniczego i na jakie cele wykorzystane zostaną nowe kredyty.

Specjaliści optymistycznie spoglądający w przyszłość twierdzą że zadłużenie wzrastać będzie w ciągu 3—5 lat. Pesymiści a może raczej realiści uważają, iż tendencja wzrostowa zadłużenia trwać będzie przez najbliższe 10-lecie. Według obliczeń dokonanych przez doc. **Jana Macieję** z Instytutu Planowania dopiero po roku 1992 nastąpi spadek wielkości zadłużenia. Przyjmując założenie, że stopa oprocentowania kredytu wynosi 16 proc., ceny eksportu i importu rosną o 12 proc. rocznie, a wielkość importu kształtuje się na poziomie 1980 r. dowodzi on że spłata w ciągu 15 lat całego obecnego zadłużenia wraz z odsetkami wymagałaby w rzeczywistości wydania ok. 80 mld dolarów, a przy 20-letnim okresie spłaty — ponad 120 mld dol. Te astronomiczne liczby są rezultatem działania zasady procentu składanego. **Ze wszechmiar korzystne byłoby więc uzyskanie nowych długoterminowych kredytów o stopie oprocentowania niższej niż 16 proc.** Zmniejszenie oprocentowania długu np. o 2 proc. spowoduje obniżenie wysokości spłaty w okresie 20 lat o 23 mld dol. Warto przeto zabiegać o kredytodawców o minimalne chociaż obniżenie stopy oprocentowania. Z pewnością nie będzie to zadanie łatwe, gdyż nasza pozycja jako rzetelnego dłużnika została ostatnio mocno osłabiona.

Zarysowany z grubsza obraz sytuacji płatniczej w najbliższej perspektywie skłania do pewnych uogólnień na temat polityki kredytowej. Otóż, istota prawidłowej polityki polega na tym, aby zaciągnąć kredyty na najkorzystniejszych warunkach oraz utrzymywać określoną relację między spłatami kredytów w przeszłości otrzymanych, a kredytami nowo zaciągniętymi. Nadwyżka spłat nad wielkością wykorzystanych kredytów stanowi bowiem obciążenie bieżącego dochodu narodowego i może wywołać negatywne reperkusje w zakresie konsumpcji. Uwzględniając ten czynnik wyróżnić należy trzy podstawowe rodzaje polityki kredytowej.

Pierwszym rodzajem tej polityki jest zespół działań zmierzających do stabilizacji zadłużenia a więc do osiągnięcia równowagi między dopływem nowych kredytów, a spłatą kredytów dawnych. Operacje kredytowe nie powodują wtedy ani wzrostu, ani spadku bieżącego dochodu narodowego. Zakładając, że dochód narodowy stale rośnie taka polityka zapewnia relaktywny spadek obciążenia dochodu zadłużeniem zagranicznym.

Drugi rodzaj polityki kredytowej polega na oddłużaniu kraju. Realizacja tej polityki zakłada nadwyżkę spłat nad wykorzystaniem kredytów. Jest ona uzasadniona w sytuacji gdy deficyt płatniczy jest wysoki a dochód narodowy osiągnął rozmiary pozwalające na wydatne zwiększenie spłat.

Istotą trzeciego rodzaju polityki jest wzrost zadłużenia w proporcji do wzrostu dochodu narodowego. Utrzymuje się wtedy nadwyżkę wykorzystania nowych kredytów nad spłatami w takich rozmiarach, aby kwota zadłużenia w stosunku do rosnącego dochodu narodowego była constans.

Wybór właściwej polityki kredytowej jest wypadkową potrzeb rozwoju gospodarczego kraju, jak i sytuacji międzynarodowej, która kształtuje możliwości zaciągania nowych kredytów oraz warunki uzyskiwania z eksportu dewiz na spłaty. **Zważywszy szczególną sytuację naszej gospodarki należałoby skłonić się w najbliższym okresie ku polityce wzrostu zadłużenia. Na dłuższą metę trzeba jednak przejść do polityki oddłużania kraju.**

Przyjęcie założenia że dalszy wzrost zadłużenia gospodarki stanowi zło konieczne, wiąże się z potrzebą opracowania i niezwłocznej realizacji koncepcji racjonalnego wykorzystania uzyskanych kredytów. Powielanie starych błędów w tej materii mogłoby doprowadzić kraj do stanu chronicznego kryzysu. Na czym polegać powinno sensowne wykorzystanie nowych kredytów?

Po pierwsze, **należy spożytkować te kredyty w celu sfinansowania importu dóbr zaopatrzeniowych** niezbędnych dla wielu nowoczesnych przedsiębiorstw, które z powodu braku podstawowych surowców i materiałów pracują na jałowym biegu. Pozwoliłoby to poprawić w pewnym stopniu sytuację kooperacyjną gospodarki.

Po wtóre, **należy dokonać starannego wyboru takich dziedzin przemysłu, które rokują największe szanse na zwiększenie produkcji eksportowej do krajów kapitalistycznych.** Do dziedzin tych powinno skierować się duży strumień kredytów. Prawdą oczywistą jest, że w dłuższym okresie jedynym skutecznym sposobem regulowania długów jest zwiększenie zdolności eksportowej gospodarki. Z przeglądu naszych możliwości eksportowych wynika, że największe szanse ekspansji eksportowej kryją się w przemyśle przetwórczym, a ściślej w elektromaszynowym. Przemysł ów poddany został w minionym 10-leciu gruntownej modernizacji oraz szczodrze był obdarowany licencjami zagranicznymi. Poważnym atutem tego przemysłu jest również dobrze wykształcona kadra techniczna i silna tradycja wynalazcza (notabene skrępowana biurokratycznym gorsetem, ale mimo to ciągle żywotna).

Po trzecie, **zahamować należy zakupy maszyn i urządzeń, które zamówione zostały w minionym okresie,** a teraz napływają do kraju i powiększają nasze płatności. Potrzebne są w tym względzie **renegocjacje kontraktów** zawartych przecież w zupełnie odmiennych niż obecnie warunkach ekonomicznych i politycznych.

Racjonalizacji wykorzystania kredytów zagranicznych towarzyszyć muszą kompleksowe i zharmonizowane ze sobą działania prowadzące do zlikwidowania marnotrawstwa energii i surowców, ożywienia innowacyjności gospodarki, uporządkowania sfery inwestycji i poprawy efektywności produkcji rolnej. Do czasu wprowadzenia reformy gospodarczej niezbędne są poczynania porządkujące gospodarkę narodową. Największy porządek należy zaprowadzić w rolnictwie, które przypomina mityczną „stajnię Augiasza". Wydatne zwiększenie towarowości rolnictwa przyczyni się do zmniejszenia obciążenia płatniczego kraju z tytułu importu płodów rolnych. **Każdy krok naprzód w rozwiązywaniu problemów rolnictwa procentować będzie w przyszłości obniżeniem zadłużenia, gdyż spadną znacznie wydatki dewizowe na zakup zbóż, pasz i mięsa.**

*

Należy pamiętać, że omawiane poprzednio moratorium posiada oprócz blasków również i cienie. Nie stanowi ono czarodziejskiej różdżki której dotknięcie spowoduje umorzenie zadłużenia kraju. Ale nie jest także — jak sądzą niektórzy ekonomiści — aktem ostatecznej kapitulacji finansowej, który może dodatkowo skomplikować już i tak zagmatwaną sytuację płatniczą Polski. Reprezentuję pogląd, że moratorium należy rozpatrywać w kategoriach pragmatycznego rozwiązania, którym powinna posłużyć się nasza gospodarka ze względu na nadzwyczaj trudne warunki.

Podstawowym niebezpieczeństwem, jakie w sobie kryje moratorium jest możliwość powstania komfortu psychicznego i swoistego zadowolenia z powodu odroczenia spłat. Zjawisko to może niekorzystnie wpłynąć na intensyfikację wysiłków w zakresie produkcji eksportowej i wywołać demobilizację w pewnych dziedzinach gospodarki, a zwłaszcza na poziomie centralnych urzędów, które są szczególnie podatne na fascynację doraźnymi osiągnięciami. **Wielkim zagrożeniem dla sprawy reformy gospodarczej byłoby rozumowanie oparte na schemacie: moratorium dla długów oznacza moratorium dla reformy.**

Negatywnym skutkiem uzyskania moratorium może być spadek zaufania kapitalistycznych bankierów i ich rządów do naszej rzetelności jako płatnika. Ujemne konsekwencje tego stanu rzeczy mogą wystąpić na płaszczyźnie negocjacji z potencjalnymi kredytowcami, u których zabiegać będziemy o nowe kredyty. W ostatnich miesiącach nasza pozycja partnerska uległa poważnemu osłabieniu, wskutek zmniejszenia eksportu wielu towarów ważnych dla zagranicznych kontrahentów. Trudno więc w tych warunkach liczyć na sentymenty zagranicznych wierzycieli, którzy powodowani troską o los naszej gospodarki zaaprobują każdą prośbę o moratorium bądź udzielenie kredytu. Pomimo tego wydaje się, iż istnieje pewna szansa uzyskania nowych kredytów i złagodzenia warunków spłaty. Tkwi ona w tym, że niektóre kraje kapitalistyczne dostrzegają znaczenie stabilizacji sytuacji w Polsce z punktu widzenia polityki globalnej — sprawa odprężenia światowego i relacji Wschód — Zachód. Ważnym dla dalszego bytu narodowego jest przeto konsekwentne działanie władzy i wszystkich sił społecznych na rzecz zmniejszenia podejrzliwości bankierów i rządów zachodnich do naszych przemian. Odzyskanie utraconej wiarygodności wymaga zdecydowanych i przemyślanych posunięć uzdrawiających gospodarkę narodową, a zwłaszcza rynek wewnętrzny i handel zagraniczny. Na pewno naszej wiarygodności nie zwiększyłby program budowy „trzeciej Polski", który byłby wyrazem groteskowej wręcz megalomanii narodowej. **Potrzebny jest zatem program pozytywistycznych reform i nieodzownych działań doraźnych, aby przebudować „drugą Polskę" i stworzyć podwaliny pod jej pomyślny, wolny od dramatycznych wstrząsów rozwój.**

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

PARTIA I PRASA

Dalszy ciąg ze str. 1

Opinia pierwsza. Niektóre gazety partyjne w Polsce jakby się „przyczaiły", „przycupnęły", zatrzymały w rozwoju i oczekują, że lada moment nadejdą wytyczne z Warszawy, z których będzie jasno wynikało, co robić, aby robić dobrą gazetę partyjną. Otóż te gazety, które tak postępują, czekają daremnie. Instrukcji nie będzie, bo jej być nie może. W obecnych warunkach politycznych, kiedy w różnych województwach różnie dokonuje się proces przemian, różnie trzeba też redagować gazetę partyjną. Zespoły redakcyjne poszczególnych gazet, ich kierownictwa, wspólnie z kierownictwem instancji partyjnej, z całą instancją wreszcie, muszą znaleźć najlepszą formułę, właściwie określającą rolę gazety partyjnej w konkretnych warunkach danego regionu. A więc kierunek na samodzielność poszukiwań. A więc tak, jak w całej partii formy działania i programy rodzą się z oddolnych inicjatyw, tak w prasie partyjnej z różnorodności poszukiwań może narodzić się model prasy partyjnej końca XX wieku.

Opinia druga. Używa się u nas często pojęcia „zagraniczna prasa". Jest to pojęcie bardzo nieprecyzyjne. Prasa zagraniczna jest bowiem bardziej zróżnicowana niż to się nam wydaje. Wychodzą tam gazety o różnych odcieniach politycznych. Zajmują wobec różnych spraw bardzo skrajne stanowiska. To, co do nas dociera jako głos „prasy zagranicznej" jest zaledwie częścią różnorodnych opinii, jest przeglądem opinii dzienników i czasopism najbardziej liczących się, opinii wybranych pod takim, czy innym kątem.

Jeśli więc w takiej różnorodności wychodzą dzienniki partii komunistycznych, to mają one do spełniania rolę szczególną: popularyzację i obronę polityki partii. Nie ulega wątpliwości, że partie komunistyczne są tam nieustannie atakowane przez gazety skrajnie prawicowe i nie tylko i że w takiej sytuacji gazety tych partii bronić je muszą przed tymi atakami. Nie można zatem gazet tych stawiać nam za wzór do naśladowania a z takim poglądem spotkałem się niedawno — chociaż warto korzystać z każdego dobrego wzoru.

My na przykład ciągle nie umiemy prowadzić na łamach naszych gazet partyjnych walki ideologicznej, nie umiemy polemizować posługując się precyzyjnie argumentami. Taka więc opinia, która głosi, że trzeba popatrzeć na gazety partii komunistycznych wychodzące w krajach kapitalistycznych i nauczyć się od nich prowadzenia walki jest bez wątpienia interesująca. Ale i tak nie zmieni to faktu, że w naszych, konkretnych warunkach politycznych musimy sami, samodzielnie dopracować się modelu prasy partyjnej.

Nie chodzi bowiem tylko o to, jaka dziś ma być prasa partyjna, ale również i o to, jaka będzie w latach osiemdziesiątych.

2. Jakie mamy dziś warunki? Wiadomo, że prasa partyjna wychodzi w warunkach ostrego kryzysu papierowego. Brakuje papieru. Stąd gazety ukazują się — poza „Trybuną Ludu" i „Życiem Warszawy" — tylko 5 razy w tygodniu. Jest to mało. Na spotkaniach z aktywem robotniczym z czytelnikami słyszy się nieustanne żądanie, aby przynajmniej prasa partyjna ukazywała się 6 razy w tygodniu. Jak do tej pory są to żądania, które nie mogą być spełnione, ale, które w przyszłości muszą być spełnione. Tylko, w jakiej przyszłości? Bliskiej, a więc w tym roku czy może dalszej, a więc w roku 1982, a może jeszcze dalszej, czyli w roku 1983. Na to pytanie nie ma precyzyjnej odpowiedzi.

Gazety i tygodniki rozchodzą się dziś w sposób błyskawiczny. Przed kioskami „Ruchu" formują się długie kolejki, kiedy wiadomo jest, że „Łączność" zaraz przywiezie gazety czy tygodniki. Ludzie narzekają, że gazetę kupuje się przypadkowo. Robotnicy, którzy idą do pracy na godzinę 6 mają słuszne pretensje że nie mogą dostać gazet, bo ich jeszcze w kiosku nie ma, kiedy wychodzą z pracy gazet dawno już nie ma. A oni chcą mieć i mają prawo mieć dostęp do prasy.

W takiej sytuacji trudno mówić o o tym, że jakiekolwiek gazety mają wyłącznie swoich stałych czytelników. Zespół redagujący gazetę, mając taką świadomość, nie może dokonywać selekcji informacji, nie może odesłać czytelnika do innej gazety, gdyż nikt nie ma pewności, jaką gazetę czytelnik akurat dziś dostanie. Stąd na każdej redakcji ciąży obowiązek dawania możliwie pełnej informacji, aby czytelnik mógł wyrobić sobie jaką taką orientacje o tym, co się dzieje na świecie i w kraju. I tak wiedza jego będzie szczątkowa gdyż gazety nie są w stanie pomieścić wszystkiego, co powinny, aby spełnić właściwie obowiązek rzetelnego informowania. Na przykład popołudniówki nie mogą powoływać się na dzienniki poranne, że te informowały o tym czy o tamtym, bowiem nikt nie ma pewności, czy czytelnik kupujący popołudniówkę miał możliwość kupienia dziennika porannego.

Jeśli więc czytelnicy zarzucają gazetom, że są do siebie podobne, że wszystkie piszą o tym samym, to muszą mieć na uwadze fakt, że robią to nie z lenistwa, a z pragnienia spełniania podstawowego obowiązku informacyjnego. Teoretycznie można bowiem wyłamać się z „wszystkoizmu" w gazecie i dokonywać selekcji informacji, licząc się z tym, że pozostałe przyniosą inne gazety, ale wtedy redakcja byłaby atakowana za niepełność informacji, za jej szczątkowość, a być może za ukrywanie niektórych wiadomości. A my tymczasem dążymy do pełnego informowania, do przełamywania barier, ale nie będzie to możliwe w pełni, dopóki, nie wzrośnie objętość gazet i nie wzrosną ich nakłady.

Niezależnie od uwarunkowań, jakie dziś istnieją i utrudniają kształtowanie się prasy partyjnej — i nie tylko — nie wolno pozostawić jej samej sobie, nie wolno nie poszukiwać dziś rozwiązań, które w pełni mogą się sprawdzić dopiero jutro, a nawet być może pojutrze. Żeby jednak te poszukiwania oprzeć na twardym gruncie, trzeba sięgnąć trochę do przeszłości i do teoretycznych rozważań.

3. Mówi się o leninowskiej koncepcji prasy partyjnej. W ogóle ostatnio sporo mówi się o potrzebie powrotu do „leninowskich norm" nie zawsze wyjaśniając, jakie pod tym pojęciem kryją się treści. Sięgnijmy więc do źródła. W maju 1901 r. Włodzimierz Lenin napisał artykuł, któremu dał tytuł: „Od czego zacząć?". Artykuł ukazał się w 4 numerze „Iskry" też w maju 1901 roku. Włodzimierz Lenin sformułował w nim swój pogląd na rolę pisma partyjnego:

„Rola pisma nie ogranicza się jednak do samego tylko rozpowszechnienia idei, do samego tylko wychowania politycznego i pozyskiwania sprzymierzeńców politycznych. Pismo — to nie tylko kolektywny propagandysta i kolektywny agitator, lecz również i kolektywny organizator. W tym ostatnim sensie można je porównać z rusztowaniem, które stawia się wokół budującego się gmachu, które określa kontury budowy, ułatwia komunikowanie się poszczególnych budowniczych, pomaga im podzielić robotę, ogarniać wzrokiem ogólne rezultaty osiągnięte zorganizowaną pracą. Przy pomocy pisma i w związku z nim sama przez się będzie się kształtowała stała organizacja, zajęta nie tylko lokalną, lecz również regularną działalnością ogólną, nauczająca swych członków uważnego śledzenia wydarzeń politycznych, oceny ich znaczenia oraz ich wpływu na różne warstwy ludności, wypracowywania celowych sposobów oddziaływania na te wydarzenia ze strony rewolucyjnej partii."

Myśli te Włodzimierz Lenin rozwinął w pracy „Co robić?" napisanej na przełomie 1901 i 1902 roku, która ukazała się w marcu 1902 roku. Był to okres budowania partii, okres walki z „ekonomistami". Partia była wówczas rozdrobniona, panował w niej rozgardiasz ideowy, poszczególne komitety i grupy zajmowały się swoimi drobnymi, praktycznymi sprawami, nie myślano o niezbędnej ideowej jedności partii. II Zjazd SDPRR zebrał się dopiero w lipcu 1903 roku. Ale, aby mógł się zebrać trzeba było wykonać trudną pracę rozprawienia się z wieloma różnymi poglądami, scalić partię i zadanie to wykonano między innymi przy pomocy „Iskry". Ogólnorosyjskie pismo, redagowane i drukowane poza granicami Rosji, spopularyzowało ideę scentralizowanej partii. Wówczas zresztą narodziło się pojęcie centralizmu demokratycznego.

No, tak — mówią niektórzy — ale to było 80 lat temu, w sytuacji, kiedy w Rosji tworzyła się partia. Czy sformułowane wówczas zasady, muszą i dziś, w zupełnie różnych warunkach, obowiązywać w taki sam sposób, jak dawniej? Istotnie historyczne warunki sprzed 80 lat są diametralnie różne od dzisiejszych.

Istnieje wszakże pewne podobieństwo. Dziś nasza partia jest również rozbita, również poszukuje nowych form i metod działania, próbuje w nowy, głębszy i twórczy sposób wyjaśnić istotę centralizmu demokratycznego oraz stosować go w praktyce działa w rozdrobnieniu i potrzeba jej ideowej jedności i ideowego wzmocnienia. To podobieństwo występuje jednak w zupełnie różnych warunkach historycznych. Ale cel jest tu bardzo podobny i to wskazuje, że należy z całą uwagą ponownie przemyśleć leninowską formułę pisma partyjnego.

Do tej pory w sposób niebywale uproszczony podchodziliśmy do zadań kolektywnego propagandysty, agitatora i organizatora. Rolę organizacyjną pism partyjnych rozumiano najczęściej jako organizowanie różnych pożytecznych akcji. Wydaje mi się, że rolę tę trzeba dziś rozumieć głębiej. Przede wszystkim jako rolę organizatora wymiany poglądów w sferze ideologii, jako organizatora odbudowy ideowego uzbrojenia partii. Zadaniem partyjnej gazety powinno dziś być, według mnie, inicjowanie ideowych dyskusji, skupianie przez te dyskusje wokół pisma wszystkich tych, którzy chcą i powinni propagować teorie marksizmu-leninizmu. Pomagać przez te dyskusje organizacjom partyjnym w zrozumieniu dokonujących się w kraju procesów politycznych i społecznych, aby umiały je oceniać dialektycznie, zgodnie z materializmem historycznym.

Tutaj chciałbym jeszcze raz odwołać się do myśli Włodzimierza Lenina. W 1900 roku pisał on, a ukazało się to drukiem dopiero w 1925 roku:

„...wysuwamy jako swój cel systematyczne omawianie wszystkich zagadnień polityki: socjaldemokratyczna partia robotnicza powinna reagować na wszystkie zagadnienia wysuwane przez życie we wszystkich dziedzinach, na zagadnienia polityki zarówno wewnętrznej, jak i międzynarodowej, toteż powinniśmy dążyć do tego, by każdy socjaldemokrata i każdy świadomy robotnik wyrobił sobie określone poglądy na wszystkie podstawowe zagadnienia — bez spełnienia bowiem tego warunku niemożliwa jest szeroka i planowa propaganda i agitacja."

I jeszcze:

„Uważamy nawet za jeden z mankamentów obecnego ruchu brak otwartej polemiki między poglądami najoczywiściej rozbieżnymi, dążenie do ukrywania rozbieżności dotyczących nader istotnych zagadnień."

4. Stosunek do prasy w ogóle, a partyjnej w szczególności zawiera się w pewnym wewnętrznie sprzecznym stereotypie. Z jednej strony mówi się, że „prasa kłamie", albo delikatniej, że nie pisze całej prawdy, ukrywa informacje, posługuje się szyfrem ogólników, z których nic nie wynika. Z drugiej strony, nawet ci sami ludzie, którzy mają takie zastrzeżenia, skłonni są jednocześnie traktować to wszystko, co ukazuje się w gazecie, jako prawdy dane do wierzenia. Trudno się zresztą czytelnikom naszych gazet dziwić skoro przez wiele lat przyzwyczaili się do koniunkturalnej papki doraźnie kleconych prawd, a rzadko spotykali się z kontrowersyjnością poglądów, z polemikami, w których posługiwanoby się argumentami zamiast insynuacjami i pomówieniami. Dziś, w zmieniających się czasach, w czasach toczącej się walki politycznej, czytelnik czuje się zdezorientowany, nie nabrał jeszcze pełnego zaufania do gazet, nie przyzwyczaił się do dosłowności wyrażanych poglądów, ciągle doszukuje podtekstów i aluzji, ciągle ma podejrzenie, że ktoś usiłuje nim manipulować podsuwając mu takie czy inne teksty, że kryją się za tym nie znane mu bliżej intencje i zamierzenia.

Wielu czytelników nie dopuszcza do siebie jeszcze myśli, że gazeta podsuwając mu teksty dyskusyjne zaprasza niejako do udziału w wymianie myśli i poglądów. Jeśli wyrobiły się do tej pory nawyki pisania do gazety, to w sprawach interwencyjnych, drobnych, to w wypadkach poskarżenia się na gburowatość urzędników, na ich bezduszność, na formalizm instytucji i zarządzeń. Jest to też ważne, ale nie najważniejsze.

Ważne jest to, czy gazeta staje się płaszczyzną wymiany myśli i poglądów. Dla gazety partyjnej jest to sprawa najważniejsza. Na jej łamach powinno znajdować odbicie to wszystko, co dzieje się w partii. W gazecie powinni wypowiadać się nie tylko dziennikarze, ale robotnicy, aktywiści partyjni, technicy, inżynierowie, nauczyciele, działacze kultury, ludzie nauki, praktycy i teoretycy. I nie tylko wtedy, gdy są o coś pytani przez dziennikarzy, ale z własnej wewnętrznej potrzeby podzielenia się swoimi doświadczeniami, przemyśleniami, obawami, zastrzeżeniami, a również sprzeciwami. Wtedy gazeta będzie żywa, wtedy wiadomo, że zyskała sobie zaufanie czytelników. Jeśli partia ma być mądra świadomością swych członków, to gazeta musi być mądra i żywa poprzez udział jej czytelników. Powinna ona być bowiem płaszczyzną dialogu instancji partyjnych z aktywem i członkami organizacji partyjnych, dialogu partii ze społeczeństwem.

W warunkach, kiedy nakłady gazet odpowiadają potrzebom o ich powodzeniu można sądzić na podstawie tego, jak się rozchodzą. W warunkach, kiedy gazet brakuje, kiedy ludzie kupują wszystko, co się ukazuje w kioskach, miarą popularności i zaufania do gazety są tylko i wyłącznie listy i telefony. Takie listy i telefony mogą też być miarą braku zaufania, jeśli wymyśla się w nich gazecie, jeśli zarzuca się, że gazeta kłamie. Ale niezależnie od tego każda gazeta, a już partyjna przede wszystkim, musi troszczyć się o to, aby czytelnicy, aby aktyw partyjny, członkowie partii pisali do niej i pisali takie listy, które powinny ukazywać się na jej łamach. I to jest zadanie nie tylko na dziś, na jutro i pojutrze również.

5. Gazeta partyjna, a więc służąca partii. Ukazująca na swych łamach to, co dzieje się w partii — od organizacji partyjnych poprzez instancje różnego szczebla aż do Komitetu Centralnego. Informująca szeroko i rzetelnie. Tu jeszcze raz powołam się na Włodzimierza Lenina, który napisał:

„Nam potrzebna jest pełna i prawdziwa informacja. A prawda nie może zależeć od tego, komu służy."

Napisane zostało to w 1921 roku i nie straciło swej aktualności do dziś.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

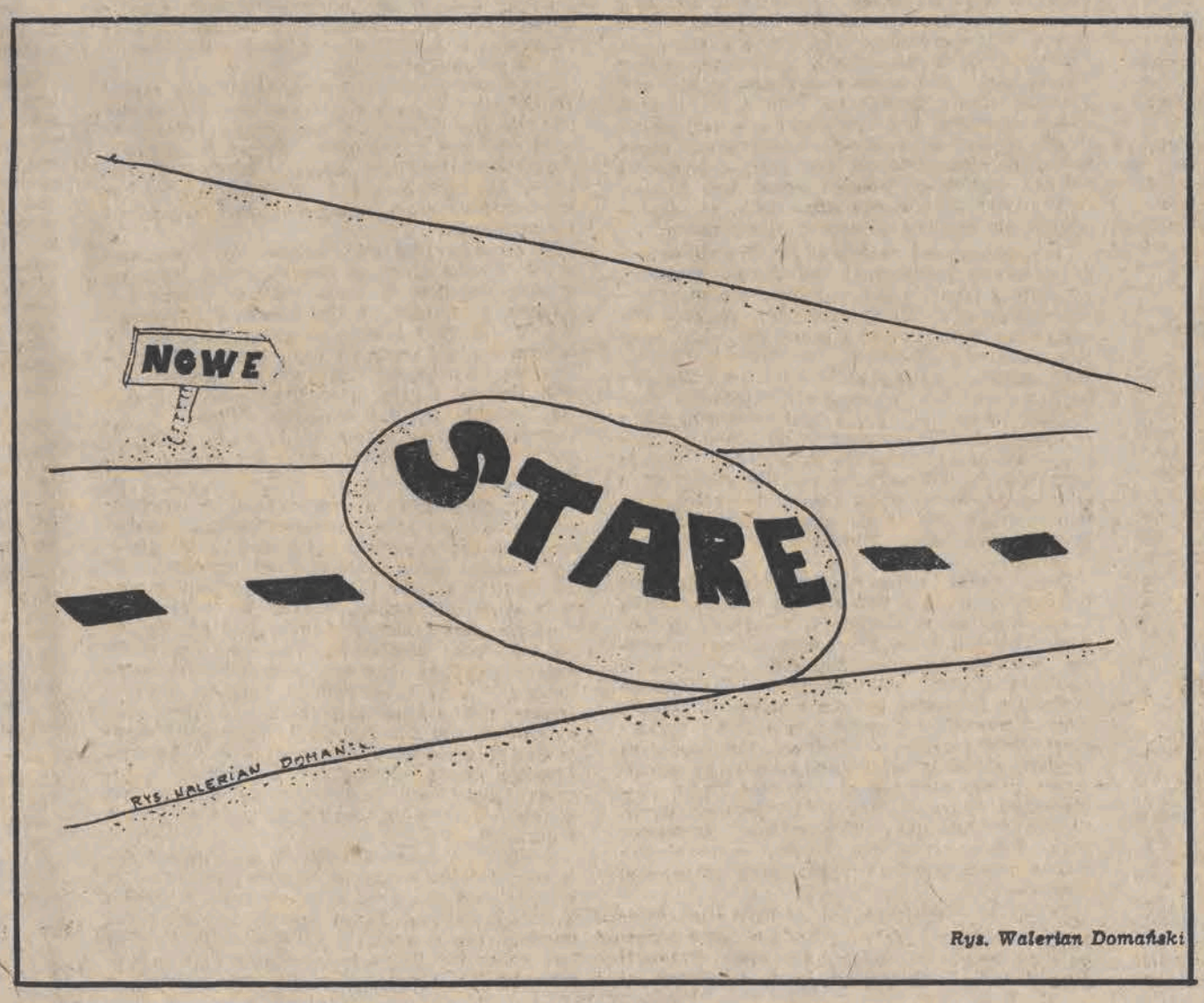

Rys. Walerian Domański

W INTENCJI OBRONY PRAW MEGO KRAJU

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Babiucha, na co w dniu 13 marca 1980 roku otrzymałem od Dyrektora Gabinetu Prezesa Rady Ministrów odpowiedź, iż moje pismo do Premiera zostało przekazane Prokuratorowi Generalnemu PRL. Ze sposobu załatwienia mojej sprawy mam prawo wyciągnąć wniosek, iż do czasu wyjaśnienia postawionych mi zarzutów, które od 15 miesięcy były znane naczelnym władzom partyjnym i państwowym, powinienem powstrzymać się od jakichwolwiek działań w Komitecie Nagród Państwowych.„(...) Przewodniczenie Komitetowi Nagród Państwowych uważam za funkcję zaszczytną, ale i odpowiedzialną. Ani na Komitecie, ani na jego przewodniczącym (lub którymkolwiek z członków) nie może ciążyć zarzut nieetycznego postępowania, jaki mi postawiono. Bez jego obalenia we właściwym do tego trybie nie wolno mi działać, tego bowiem wymaga choćby szacunek dla Laureatów Nagród Państwowych, które KNP przyznaje".

W odpowiedzi na decyzję prof. *Groszkowskiego* Sekcja Literatury Komitetu Nagród Państwowych obradująca pod przewodnictwem prof. dr *Janiny Kulczyckiej-Saloni*, na posiedzeniu w dniu 1 kwietnia podejmuje uchwałę, w której: *„Członkowie Sekcji po dyskusji i rozważaniu sprawy, solidaryzują się ze stanowiskiem prof. dr Janusza Groszkowskiego i postanowili wstrzymać prace Sekcji Literatury do czasu wyjaśnienia sprawy".*

W kilka dni później delegacja członków Prezydium Komitetu Nagród Państwowych przekazuje na ręce Profesora list, w którym pisze m. in.:

„Członkowie Prezydium Komitetu pragną zapewnić pana, że żadne wystąpienia ze strony Petrysa nie mogą w najmniejszym stopniu zachwiać naszym szacunkiem i zaufaniem do Pana Profesora, ani też rzucić w oczach opinii społecznej cienia na Jego autorytet i godność moralną. W przekonaniu więc, że kompetentne organy wymiaru sprawiedliwości postępować będą tak, jak nakazuje im prawo, członkowie Prezydium, Komitetu wyrażają sympatię i szacunek oraz pełne zaufanie dla Pana Profesora i zwracają się z gorącą prośbą o dalsze normalne kierowanie pracami naszego Komitetu". List podpisany jest przez zastępcę przewodniczącego KNP prof. *Jana Kaczmarka* oraz członków Prezydium Komitetu: prof. prof. *Jerzego Bukowskiego, Witolda Nowackiego, Stefana Pietrusiewicza, Kazimierza Secomskiego, Dionizego Smoleńskiego, Jana Szczepańskiego i Andrzeja Werblana.* W niespełna tydzień potem prof. *Groszkowski* otrzymuje list od ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki:

„Moja nieobecność w kraju — pisze w nim prof. Janusz Górski — *uniemożliwiła mi podpisanie listu skierowanego do Pana Profesora w dniu 9 bm. przez Prezydium Komitetu Nagród Państwowych. Chciałbym zatem stwierdzić, że w pełni solidaryzuję się z treścią tego listu".* Za wyrazy szacunku, zaufania i sympatii prof. *Groszkowski* serdecznie autorom listów podziękował. Sekcję Literatury prosił o ponowne podjęcie pracy, ale własnej decyzji nie zmienił.

„Intencją zawieszenia mej funkcji w Komitecie — pisał w liście do członków Prezydium KNP — *była przede wszystkim sprawa autorytetu Komitetu, którego — powołany przez Prezesa Rady Ministrów dekretem z dn. 12.II.1979 r. — mam zaszczyt być Przewodniczącym. Ceniąc jak najwyżej opinię Szanownych i Drogich Panów Kolegów nie mogę nie liczyć się ze stroną formalną, jaka powinna istnieć między Komitetem a Urzędem, któremu podlega. A pod tym względem — od czasu zawieszenia mej funkcji — nic się dotąd nie wydarzyło".*

List nosi datę 16 kwietnia 1980 roku. Ponieważ we wzmiankowanej sprawie między Komitetem a Urzędem, któremu tenże Komitet podlega, *„nic się nie wydarzyło"* również w następnych tygodniach i miesiącach, Profesor nie podjął działalności przewodniczącego KNP i stąd jego nieobecność na uroczystości wręczenia Nagród w dniu 16 lipca.

Kim jest człowiek, którego działalność doprowadziła w konsekwencji do tej dramatycznej decyzji przewodniczącego KNP, którego nazwisko stało się przekleństwem ostatnich kilkunastu lat życia Profesora (i nie tylko Profesora) — kim jest *Tibor Petrys?*

Bez obawy narażenia się na zarzut stronniczości można o nim powiedzieć tylko tyle, że urodził się w Budapeszcie w 1931 roku, posiada obywatelstwo węgierskie, mieszka w Krakowie, jest żonaty, ma dwoje dzieci i nosi tytuł doktora chemii. Część środowiska naukowego widzi w nim pseudonaukowca, oszusta, milionera — i jeszcze kilka określeń można byłoby przytoczyć. On sam najkrócej charakteryzuje swoją sylwetkę w piśmie do Prokuratury Generalnej z dnia 4 września 1975 roku:

„Jestem człowiekiem, który od 15 lat buduje Polskę Socjalistyczną zgodnie ze wskazaniami Partii".

Po raz pierwszy zetknął się Profesor z nazwiskiem *Petrysa* w drugiej połowie lat sześćdziesiątych przy okazji tzw. sprawy docent *Hankus.* Sprawa ta miała swój początek na Politechnice Krakowskiej i poprzez rozmaite szczeble naukowej drabiny dotarła na sam szczyt, do Polskiej Akademii Nauk, której profesor był wówczas Prezesem. Bez przypomnienia tamtej sprawy nie sposób zrozumieć dalszego ciągu wydarzeń.

SPRAWA DOCENT HANKUS

zaczęła się dokładnie 30 września 1964 r., w dniu, w którym doc dr inż. *Aleksandra Hankus,* kierownik Zakładu Chemii w katedrze Fizyki na Wydz. Mechanicznym Politechniki Krakowskiej, skierowała do Rady Wydziału pismo żądające powołania komisji dla zbadania nienormalnego stanu, jaki powstał w podległym jej zakładzie i naprawienia zła. Winę za ów stan ponosi adiunkt dr *Petrys* — człowiek bez skrupułów, o kolosalnych ambicjach, żądny kariery za wszelką cenę, szykanujący ją i terroryzujący współpracowników. W zakładzie wytworzyła się na skutek tego *„atmosfera obozu koncentracyjnego"*, nieuctwa, kradzieży i hohsztaplerstwa. Jako przykład postępowania dr *Petrysa* doc. *Hankus* podała fakt przedłożenia przez tego ostatniego pracy tzw. zespołu smarowego jako własnej pracy habilitacyjnej.

Swoje pismo do Rady Wydziału skierowała doc. *Hankus* 30 września 1964 r. W miesiąc później dr *Petrys* wniósł do Sądu Powiatowego dla m. Krakowa akt oskarżenia przeciwko swej przełożonej, skarżąc ją o zniesławienie. Piątego marca rzecznik dyscyplinarny Politechniki Krakowskiej doc. *Julian Pałka* wnosi do Komisji Dyscyplinarnej akt oskarżenia zarzucający doc. *Hankus* zniesławienie dr *Petrysa.* Zarzuty — motywuje — potwierdziły się tylko częściowo.

Sprawa przeciąga się, ponieważ na jej tle dokonuje się polaryzacja sił w Politechnice. Rektor *Kopyciński* jest przeciwny wszczynaniu postępowania dyscyplinarnego, ale jego kadencja się kończy. Po wyborach sprawy ruszą do przodu i 13 grudnia 1965 r. zapada werdykt — Komisja Dyscyplinarna wymierza doc. *Hankus* karę nagany. Sprawa jednak toczy się o znacznie większą stawkę — werdykt stanowi podstawowy dokument dla Sądu, który następnego dnia wymierza oskarżonej karę 11 miesięcy więzienia, 5 tys. zł grzywny, zwrot kosztów sądowych i ogłoszenie wyroku w prasie. W komplecie sędziowskim, któremu przewodniczy SSP *Bronisława Tambor*, jedna tylko ławniczka, *D. Głąbińska-Musialska* zgłasza odrębne zdanie:

„Wyrok jest rażąco za wysoki — stwierdza — *oskarżona przekroczyła dozwolone i dopuszczalne ramy, jednak motywem jej postępowania była troska o prawidłowość prac naukowych i ich samodzielność, a nie chęć bezpośredniego obrażania oskarżyciela Petrysa. W toku przewodu sądowego można uznać za udowodnione, że oskarżyciel swym zachowaniem prowokował oskarżoną drobnymi lecz stałymi szykanami, w jej pracy starał się ją wytrącić z równowagi psychicznej. Na powyższe zwraca uwagę też zachowanie się obydwu stron na rozprawie, gdzie oskarżyciel publicznie, zawsze z dużą pewnością siebie i swobodą, udowadniał swe oskarżenie świadkami dobrze do sprawy przygotowanymi, bądź od niego w pracy zawodowej zależnymi. Natomiast oskarżona, osoba raczej robiąca wrażenie spokojnej i broniącej się bez specjalnego przygotowania, lecz przekonana o słuszności swego stanowiska, nie dysponowała w zasadzie „wygodnymi świadkami".*

Jeszcze w czasie postępowania dyscyplinarnego odebrano podejrzanej aparaturę naukową, usunięto z laboratorium i pozbawiono zajęć dydaktycznych. W tej sytuacji doc. *Hankus* decyduje się zrezygnować z pracy na Politechnice Krakowskiej i przechodzi do Wyższej Szkoły Pedagogicznej, gdzie zostaje dziekanem Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Politechnika rozwiązuje umowę o pracę z dr *Reymanem*, który w sporze staje jednoznacznie po stronie oskarżonej. Praca habilitacyjna dr *Petrysa* zostaje przesłana na Politechnikę Gliwicką, gdzie wkrótce jej autor zdaje pomyślnie kolokwium habilitacyjne. Jego habilitacja wymaga jednak zatwierdzenia przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego.

Doc. *Hankus*, która z oskarżycielki staje się oskarżoną, wnosi o rewizję wyroku do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie, a od decyzji Komisji Dyscyplinarnej PK odwołuje się do wyższej Komisji Dyscyplinarnej dla pracowników naukowych przy Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego. Ponieważ jednym z głównych problemów wymagających wyjaśnienia jest sprawa pracy habilitacyjnej dr *Petrysa*, Komisja zleca biegłym zbadanie zasadności zarzutu jej *„przywłaszczenia"*. Biegły prof. *Witold Tomassi* — kierownik Katedry Chemii Fizycznej na Wydz. Chemii Politechniki Warszawskiej (promotor pracy habilitacyjnej doc. *Hankus* — co obrona będzie potem skrzętnie wykorzystywać) pisze w swojej opinii:

„Jako pracę habilitacyjną dr Petrys przedstawił rozprawę pt. „O własnościach syntetycznego dwusiarczku molibdenu produkcji krajowej jako dodatku niskotarciowego do rodzimych olejów smarowych". Rozprawa zawiera 104 strony. W tekście zamieszczono 4 rysunki. Wyniki pracy doświadczalnej przedstawiono głównie na rysunkach. Rozprawa habilitacyjna nosi jedynie nazwisko dr Petrysa jako autora. W latach 1964 i 1965 ogłoszone zostały drukiem następujące prace: (wymienionych jest 6 artykułów zamieszczonych drukiem w prasie branżowej, a omawiających możliwości zastosowania syntetycznego dwusiarczku molibdenu do celów smarowniczych w różnych dziedzinach techniki. Artykuły podpisane są przez T. Petrysa i R. Kijkowską oraz T. Petrysa i M. Nizińską — H.N.) *W rozprawie habilitacyjnej oraz w sześciu wymienionych tu artykułach wyniki doświadczeń ujęte są w wykresy. Porównanie treści tych prac można więc przeprowadzić porównując rysunki w nich zamieszczone".*

Z porównania wynika, że na 64 rysunki, jakie znalazły się w 6 artykułach, 58 ma swoje odpowiedniki w pracy habilitacyjnej.

„Drukowanie 6 prac pod dwoma nazwiskami każe przyjąć — pisze prof. Tomassi — *istnienie praw autorskich do tych prac T. Petrysa i M. Nizińskiej oraz T. Petrysa i R. Kijkowskiej. W artykule nr 5 czytamy na początku: „Artykuł informuje o wynikach prób laboratoryjnych przeprowadzonych przez zespół pracowników Politechniki Krakowskiej nad smarami molibdenowymi". Przytoczone fakty pozwalają stwierdzić, że:*

1. Treść rozprawy habilitacyjnej T. Petrysa pokrywa się z treścią 6 tu przytoczonych i opublikowanych prac.

2. Prawa autorskie do przytoczonych w tych pracach wyników mają T. Petrys, R. Kijkowska i M. Nizińska (...) Tekst rozprawy nie pozwala na określenie wkładu dr T. Petrysa do wyników uzyskanych przez zespół. (...) przedłożona rozprawa (...) nie może stanowić podstawy do ubiegania się o stopień docenta".

Biegły doc. dr *Aleksander Pokrasen*, emerytowany pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, w przedłożonej Komisji opinii dochodzi do podobnej konkluzji:

„Po przeczytaniu wyżej wymienionych prac i skonfrontowaniu ich z opiniowaną pracą habilitacyjną stwierdzam, że opiniowana praca w swej większej części opiera się na cytowanych pracach stanowiących wspólny dorobek T. Petrysa, M. Nizińskiej i R. Kijkowskiej. Autor wspomnianej pracy o współautorstwie nawet nie wspomniał".

W czerwcu 1966 roku odbyła się rozprawa przed Wyższą Komisją Dyscyplinarną. Komisja w składzie: doc. *H. Samsonowicz* — przewodniczący, prof. prof. *W Czachorski, B. Dobrzański, M. Górski i Szarski* — członkowie, uchyliła orzeczenie I instancji czyli Komisji Dyscyplinarnej Politechniki Krakowskiej i uniewinniła doc. *Hankus* z zarzutu zniesławienia dr *Petrysa.* Udzieliła jej natomiast upomnienia *„wyłącznie za użycie w piśmie do Rady Wydziału sformułowań niewłaściwych".* W uzasadnieniu czytamy:

„Komisja doszła do przekonania, że obwiniona doc. Hankus jako pracownik zakładu naukowego, wobec chwiejnego stanowiska kierownika Katedry miała podstawy do zwrócenia sie do Rady Wydziału (...) W szczególności można było mieć wątpliwości, czy dr T. Petrys miał prawo w świetle dobrych obyczajów panujących na wyższych uczelniach, pominąć nazwisko swych współpracowniczek, gdy jednocześnie ta sama praca na posiedzeniach katedry była referowana jako praca zespołowa. Atmosfera pracy panująca w katedrze fizyki PK również mogła budzić uzasadniony niepokój u doc. Hankus. Komisja uważa również, że wątpliwości dotyczące kwalifikacji naukowych dr Petrysa powinny być w tej sytuacji ujawnione na Radzie Wydziału".

Werdykt Wyższej Komisji Dyscyplinarnej daje doc. *Hankus* nadzieję, a raczej pewność, że wisząca nad nią groźba 11 miesięcy więzienia nareszcie zniknie. Skoro bowiem wyrok Sądu Powiatowego opierał się na orzeczeniu Komisji Dyscyplinarnej PK, a to orzeczenie wspomniany werdykt WKD uchylał, mogła być spokojna o wynik rozprawy rewizyjnej przed Sądem Wojewódzkim. Jej radość była jednak krótka. W odpowiedzi bowiem na werdykt Wyższej Komisji Dyscyplinarnej prorektor Politechniki Krakowskiej prof. *Jan Kaczmarek* powołał pismem z dnia 28 października 1966 roku komisję w celu *„przeanalizowaniu kwestii autorstwa pracy habilitacyjnej dr Petrysa".* Komisja w składzie: prof. *Z. Kwapniewski*, doc. *M. Sarnowski*, doc. *Cz. Jodko*, doc. *W. Mazgaj* po przeprowadzeniu dochodzenia wydała opinię, w której stwierdza, że nie było żadnego przywłaszczenia wyników pracy zespołu. Tę opinię, dr *Petrys* składa w Sądzie Wojewódzkim.

W przekonaniu, że wymienionych trzech docentów i jeden profesor, którzy na PK pracują od niedawna, po prostu — jak to się dziś określa — *„wpuszczono w maliny"*, doc. *Hankus* wysyła do nich list datowany 22.I.1967.

„(...) z treści protokołu — pisze — *wyraźnie wynika, że komisji nie poinformowano o dotychczasowym przebiegu sprawy, a w szczególności zatajono przed nią wyniki i przebieg postępowania sądowego i dyscyplinarnego, nie powiadomiono jej o zebranych tam materiałach, dowodach i zeznaniach.*

Z protokółu tego wynika dalej, że komisja przystąpiła do tej pracy w czasie, gdy dowody winy Petrysa i zeznania świadków znajdowały się poza Politechniką, i że komisja oparła swe wnioski wyłącznie na oświadczeniach zainteresowanych korzystnym dla dr Petrysa rozstrzygnięciem, nie konfrontując jednakże tych oświadczeń z wcześniej złożonymi, odmiennymi i zaprotokołowanymi zeznaniami tych osób, znajdującymi się w aktach wysłanych do sądu w dniu 3 listopada 1966 r. Na domiar wszystkiego, wśród przebadanych i wymienionych przez komisję dowodów brak jest przywłaszczonej przez dr Petrysa pracy — co dyskwalifikuje całkowicie wyniki pracy komisji i jej wnioski. Wyrażam zdziwienie, że ktoś wypowiada się o kwestionowanym autorstwie pracy naukowej tak kategorycznym tonem, jak komisja, wnioski, nie zapoznawszy się z tą pracą i przyznając ten fakt w sporządzonym przez siebie protokole".

Ponieważ na list ten autorka nie otrzymała odpowiedzi, 14 grudnia 1968 r., skierowała do Sądu Koleżeńskiego (pomijam wcześniej podejmowane mniej drastyczne przedsięwzięcia typu odwołania do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, które nie wnoszą istotniejszych zmian do głównego wątku sprawy) skargę przeciwko członkom w/w komisji o to, że:

„wydali na moją szkodę niezgodną z prawdą opinię, a następnie dowiedziawszy się, że opinie ową wydali nie znając dowodów świadczących o jej fałszywości, i że przekazana została do sądu, nie wycofali tej opinii, godząc się, by stanowiła dowód przeciwko mnie w sądzie, i by wykorzystana została do wymierzenia mi kary więzienia za przeciwstawienie się przywłaszczeniu pracy naukowej".

Na posiedzeniu Sądu Koleżeńskiego pozwani stwierdzili zgodnie, że rzeczywiście swoją opinię oparli jedynie na przesłuchaniu świadków, a ściślej: (cytuję z protokołu):

„W dniu 10 listopada 1966 r. przesłuchano następujących pracowników Politechniki Krakowskiej: prof. dra Michała Halaunbrennera — kierownika Katedry Fizyki Wydz. Mechanicznego, dra Tibora Petrysa — adiunkta PK, mgra Reginę Kijkowską — starszego asystenta PK i mgra Marię Nizińską — starszego asystenta PK. Po przesłuchaniu świadków Komisja stwierdziła, że wkład pracy obu wymienionych asystentek „był charakteru nie dającego jakichkolwiek podstaw do ewentualnego współautorstwa pracy habilitacyjnej dr Tibora Petrysa".

Na zapytanie przewodniczącego Sądu Koleżeńskiego, czy zapoznali się z pracą dr *Petrysa*, i czy porównali ją z publikacjami ogłoszonymi przez niego i asystentki *Kijkowską* i *Nizińską*, pozwani oświadczyli, że tego nie uczynili. Oświadczyli również, że nie znali wydanego w czerwcu 1966 r. orzeczenia Wyższej Komisji Dyscyplinarnej, w którym praca dra *Petrysa* została zdyskwalifikowana.

Propozycja Sądu Koleżeńskiego była następująca: pozwani złożą wspólne oświadczenie stwierdzające, że werdykt wydali w oparciu o zeznania, natomiast samej pracy jak i owych artykułów pisanych kolektywnie, nie widzieli na oczy. Pozwani, którzy twierdzili, że nie zostali poinformowani, iż ich opinia będzie wykorzystana jako dowód w Sądzie Wojewódzkim, byli skłonni wycofać ją stamtąd, ale pod warunkiem, że Politechnika Krakowska się na to zgodzi. Nie chcą bowiem konfliktu z własną uczelnią. Doc. *Hankus* obawiając się, że sprawa skończy się na niczym, nalegała, aby pozwani podpisali pismo do sądu, które przedstawiła, unieważniające wydaną opinię jako opartą na niekompletnych materiałach dowodowych.

W dwa tygodnie później do Sądu Koleżeńskiego wpłynęło pismo w/w członków komisji, w którym komunikowali, że:

— wydając opinię zapoznali się z materiałami dotyczącymi badanej sprawy w takim zakresie, w jakim było to potrzebne,

— nie widzą podstawy, aby ktokolwiek narzucał im odmienne zdanie w omawianej sprawie, aniżeli to, które reprezentują zgodnie ze swoim sumieniem i wiedzą,

— zarzuty doc. Hankus stanowią niedopuszczalną ingerencję w prawo pracownika nauki do swobodnego wypowiadania się w sprawach związanych z nauką,

— z powyższych względów nie poczuwają się do obowiązku podpisywania deklaracji w formie pisma skierowanego do Sądu Wojewódzkiego, a proponowanego przez doc. dr A. Hankus.

HENRYK NAKIELSKI

(c.d.n)

Dalszy ciąg ze str. 1

ale niższe ceny nie zastąpią dotkliwego braku pasz treściwych. Tymczasem importujemy 300 tys. ton zbóż na produkcję alkoholu. To może wzbudzić sprzeciw. Trzeba jednak wyjaśnić, że część wywaru wraca z gorzelni do tuczu bydła opasowego. Ponadto 30 proc. spirytusu przeznacza się na leki. Część alkoholu idzie na eksport. Za uzyskane dewizy można by kupić pasze treściwe.

Wydaje się, że w obecnej sytuacji nie należy żałować pieniędzy na pasze. Tym bardziej, że sporo dewiz pochodzi z rolnictwa, między innymi z eksportu zwierząt futerkowych nutrii, lisów, norek, królików. Tymczasem rolnicy czekają z utęsknieniem i nadzieją na własne pasze zielone. Czekają i tracą, a wraz z nimi tracą konsumenci żywności, głównie przez brak pasz i nonsensy cenowe. Jak poinformował mnie dyr. Wydziału Rolnictwa Urzędu Miasta Łodzi, **Mateusz Zawadzki**, w woj. miejskim łódzkim do dnia 2 marca skupiono zaledwie 44 cielęta. Rolnicy wybijają masowo cielęta z trzech przyczyn: z braku pasz mlekozastępczych, w wyniku nieopłacalności karmienia cieląt mlekiem produkowanym we własnych gospodarstwach oraz z powodu braku mięsa na rynku. Zamiast 400-kilogramowych byków, zabija się cielęta o wadze 70 kg.

Na pociechę można tylko dodać, że na rynku cena 1 kg żywego prosiaka dochodzi do wysokości 140 zł. Prosiąt jest mało, trzeba je sprowadzać z innych województw, a hodowlą zajmują się nie tylko rolnicy. Przyczynił się do tego nie tyle skup interwencyjny, co kampania środków masowego przekazu, wymierzona przeciwko rzezi małych prosiąt.

W myśl wspólnych wytycznych partii i NK ZSL obowiązuje hasło: „Wszystko dla rolnictwa". Ale w kraju usiłującym wydźwignąć się z głębokiego kryzysu gospodarczego i politycznego, nie da się w ciągu kilku miesięcy dokonać cudu. Rolnicy nie zawierają pełnych umów kontraktacyjnych, bo widzą, że z braku środków produkcji nie będą w stanie wywiązać się ze zobowiązań. Wiosną nie jest to wyłącznie sprawa węgla i pasz.

Najpierw zapewnia się chłopów, że dostawy nawozów mineralnych będą zwiększone o 10 kg na hektar. W dwa tygodnie później wicepremier **Malinowski** oświadcza, że istnieje zagrożenie tej obietnicy. W kraju brakuje 109 tys. ton nawozów azotowych i 65 tys. ton fosforowych. Najmniejsze w kraju województwo łódzkie, gdzie liche, płaszczyste gleby szczególnie wymagają nawożenia, ma otrzymać 19,3 tys. ton czystego składnika, w tym chłopi 18 tys. ton (wzrost o 0,5 tys. ton). Nie ma zaległości w dostawach, do 1 marca sprzedano ok. 70 proc. dostaw. Ale zapas nawozów wynosi 4,7 tys. ton i jest o połowę niższy niż w roku ubiegłym i nie pokryje potrzeb. **Jeśli bowiem reszta dostaw dotrze na wieś w maju lub czerwcu, to będzie już za późno i nie przyniesie żadnych efektów.**

Na środki chemiczne dla całego rolnictwa przeznaczono 180 mln zł dewizowych. Należy mieć nadzieję, że te środki znajdą się u chłopów we właściwym terminie. W woj. miejskim takich środków ochrony roślin, jak do zwalczania chwastów w zbożu, ochrony buraków cukrowych, roślin motylkowych oraz do zwalczania stonki (polski preparat) — w zasadzie powinno wystarczyć. Ale środków grzybobójczych dla ogrodnictwa będzie o połowę za mało.

Wskutek złych warunków pogodowych i niedostatku środków chemicznych średnio plony ziemniaków wyniosły w ub. roku 71 q/ha. Państwo dysponuje 70 proc. sadzeniaków, których potrzeba 1 mln ton. W związku z tym w woj. łódzkim areał pod ziemniaki będzie mniejszy i wyniesie 15,3 tys. ha. **Ale dostawy sadzeniaków są bardzo niskie. Potrzeba 38,2 tys. ton, a otrzymano zaledwie 1,7 tys. ton. A więc prawie cały areał chłopi będą musieli obsadzić własnymi ziemniakami.** No i przede wszystkim będą musieli je krajać. Jest to metoda najprostsza, ale przynosząca straty. Chyba, że WOPR wymyśli jakąś nową technologię, stosowną do sytuacji. Są jednak wsie, gdzie konieczna będzie pomoc Centrali Nasiennej, bo chłopi w ogóle nie mają ziemniaków, a potrzebują do sadzenia 1000 ton.

Podobnie przedstawia się w kraju sprawa zbóż jarych do siewu. Potrzeba 309 tys. ton, a Centrala Nasienna może zapewnić 170 tys. ton. Chłopi więc mogą liczyć tylko na siebie, na pomoc sąsiadów. Dotyczy to także woj. miejskiego, gdzie na obsianie 12,2 tys. ha potrzeba 2.204 tony nasion. Niestety, przydział wynosi zaledwie 455 ton.

Niedawno planowano, że rolnictwo otrzyma o 10 proc. więcej maszyn i części zamiennych, przy czym chłopi dostaną o 21 proc. więcej. **Dziś już wiadomo, że trudno będzie zrealizować ten plan.** Na zamówione 3 mln sztuk ogumienia chemia da 1100 tys. sztuk. Występują braki w 6 tys. asortymentowych części zamiennych. Potrzeba np. 2 mln filtrów olejowych, a będzie 1,5 mln sztuk; przydałoby się 615 tys. akumulatorów, a będzie 260 tys. sztuk. Z tych m. in. przyczyn zostanie wyłączonych z pracy 40 tys. ciągników.

BARWY WIOSNY

Foto: R. Łucyszyn

Aby ratować sytuację, trzeba chyba produkować części zamienne kosztem produkcji finalnej oraz ściągać na wieś sprzęt spoza rolnictwa. Można by wykorzystać do usług (poprzez odpowiednie dotacje) ciągniki prywatne, ale trudno ocenić, ile taki ciągnik wykonał pracy u sąsiadów. A poza tym do wyceny trzeba by zaraz powoływać sztab inspektorów.

Są to sprawy maszyn najważniejszych w rolnictwie. A tymczasem brakuje także prostych maszyn i narzędzi. W Bielsku, zamiast kos i przyczep, produkuje się części samochodowe. Potrzeba jest od zaraz 45 tys. bron. Nie ma wideł, a te, które się robi, są narzędziami jednorazowego użytku. Z pomocą śpieszą zakłady, które dotąd nie pracowały dla rolnictwa. Zgłosiło się 130 zakładów, lecz produkcję urządzeń rolniczych podjęło tylko 20 proc., ponieważ brakuje surowców.

Powyższe kłopoty nie omijają również woj. miejskiego łódzkiego. Stan gotowości sprzętu rolniczego na 2 marca był niższy o 5 proc. niż w roku ubiegłym. Ogólnie sprawnych jest 80 proc. sprzętu. Nie ma pełnego zapotrzebowania na tak ważne wiosną maszyny, jak ciągniki, opryskiwacze, roztrząsacze obornika, sadzarki do ziemniaków i siewniki zbożowe. Przydziały sprzętu są mniejsze, w tym ciągników o połowę. Najgorzej z częściami zamiennymi. Do ciągników brakuje 150 pozycji, m. in. 1600 opon i 1000 akumulatorów. Ktoś nie zapłacił Austriakom w dewizach i nie ma uszczelek pod głowicę. Taka uszczelka kosztuje kilka złotych, ale gdy jej nie ma, to stoi cały ciągnik. Jest aparatura do ochrony roślin, ale nie ma gumowych węży. Łódzkie zakłady pracy robią dla rolnictwa, co mogą. W ub. roku dały sprzęt i części za 30 mln zł. W tym roku zwiększą produkcję do 80 mln zł, lecz tej wiosny rolnictwo jeszcze tego nie odczuje.

Chłopi mogą liczyć na wzrost dostaw komponentów do pasz, w tym także zwykłych lizawek. Nie wiadomo jednak, co będzie z folią. A co z innymi środkami produkcji? Ostatnio jednego dnia interweniowało u wiceprezydenta resortowego 60 rolników, którzy skarżyli się na złe rozdysponowanie środków produkcji. Jest ich po prostu za mało. Działaczom kółek rolniczych opadają ręce. Działacze mówią, że kółka są organizacją, a nie administracją. Nie będą więc wyręczać administracji w przydzielaniu sprzętu, mogą to najwyżej ocenić krytycznie i zaopiniować.

A wiosna tuż — tuż. Wiosna to słońce i zieleń, błękit nieba i ziemistość parujących pól. Tegoroczna maluje się dość czarno. Ale przyjmuje też barwy żywsze od rozgorzałych sporów i dyskusji, które przeniosły się z miasta na wieś. **Odnosi się wrażenie, że sprawę produkcji rolnej przesłoniły rozgrywki polityczne, ścieranie się poglądów, targowisko postulatów, racji i pomysłów.** Na wsi toczy się walka o stołki, trwa wielkie gadanie. Tak wielkie i zajadłe, że kółka rolnicze, a ściślej SKR, zapomniały o swojej powinności i przez zimę nie wysiały ani kilograma wapna. A na polach mokro, rozsiewaczem nie wjedzie, kiedy zaś podeschnie, trzeba szybko orać i siać zboże jare.

9 marca zebrała się Rada WZKR w Łodzi, aby ocenić stary zarząd i wybrać nowy. Mówiono o nadużyciach, protekcji i marnotrawstwie w SKR, o podwójnych fakturach w celu podwyższenia efektów gospodarczych, szantażu i sobiepaństwie. Radni twierdzili, że od SKR chcą usług, a nie tego, żeby zajmowały się gospodarką. To życzenie zostało spełnione już wcześniej, bo w woj. miejskim pozostało tylko pięć Zespołowych Gospodarstw Rolnych. Ktoś zarzucał prezesowi **Brandysowi**, że chciał siłą przyłączyć do Nowosolnej SKR w Andrespolu, bo jeśli nie, to Nowosolna nie dostanie żadnego sprzętu. I że w Nowosolnej okradano zwierzęta — magazynier zgromadził ponoć na lewo potężne zapasy pasz, po czym uciekł do Skierniewic i zatrudnił się jako inspektor. W Brójcach milionowe straty, załoga walczy z trzema radnymi i strajkuje.

Jak to się dzieje, że w jednych SKR są zyski, a w drugich straty? Główny księgowy wyjaśnił, że kontrole wykazują, iż w SKR nie ma nadużyć, są natomiast nieprawidłowości. Prezes **Mieczysław Brandys** oświadczył, że jest mu przykro, bo on nie depcze i nie tłamsi samorządu, ani nie narzuca nikomu dyrektorów. Ale jak w Parzęczewie szuka się przez trzy miesiące kandydata na dyrektora, spółdzielnia może się rozpaść, więc w końcu trzeba go przywieźć w teczce. A jeśli chodzi o Brójce, to SKR gospodarzyła tam nieźle, ale ostatnio narobiono szwindli w księgowości. Księgowy był „świętą krową", której prezes nie mógł zdjąć. Odwołał natomiast dyrektora naczelnego i zastępcę i teraz w Brójcach idzie na lepsze.

Członkowie starej rady, którzy weszli do nowej, bronili starego prezesa i wiceprezesów. Przewodniczący rady stwierdził, że są kandydaci na prezesów, zgłoszeni przez prezydium w drodze konkursu zamkniętego. Radni uważali, że warto zrobić konkurs otwarty, ogłaszając go w prasie. Inni radni byli zdania, że najlepiej wybrać starych prezesów i nie tracić więcej czasu, a poza tym obcych prezesów im nie trzeba. Postanowiono głosować tajnie na prezesa **Brandysa**. Otrzymał połowę głosów. W takiej sytuacji przewodniczący winien się zadeklarować, po czyjej jest stronie. Przewodniczący nie mógł się zdecydować, zresztą już raz oddał głos w tajnym głosowaniu. Zaczęto mrugać, potakiwać, protestować. Wyszło na jaw, że dochodzi do łamania statutu, gdyż zamierzano wybrać czteroosobowy zarząd. Tymczasem statut mówi, że zarząd ma się składać z prezesa, wiceprezesa i drugiego wiceprezesa, który jednocześnie jest głównym księgowym. Chodzi o oszczędność etatów.

Po redukcji etatów WZKiOR w Łodzi ma liczyć 40 pracowników. Przy poszerzonym zarządzie 10 kierowników przypadałoby na 30 pracowników, czyli jeden na trzech. Atmosfera się podniosła, wzrosło napięcie, zrodziła się nerwowość i nieufność. Kobiety były za tym, żeby szybko skończyć wybory, bo trzeba iść do roboty. Mówiono o wszystkim, tylko nie o innych związkach zawodowych na wsi. Zgodnie zresztą z oświadczeniem wiceministra **Kacały**, który oznajmił przed kamerami TV, że podczas rozmów ze strajkującymi rolnikami w Rzeszowie nie poruszano tematu rejestracji „Solidarności Wiejskiej". Wreszcie głos zabrał jeden z zaproszonych gości, który stwierdził, że był i jest za kółkami rolniczymi, bo tylko one są gwarantem postępu na wsi. Kółka winny współrządzić i sprawować obsługę kontrolną w gminach. Jest to konieczne, bo przemysł niewiele da wsi, gdyż to nie wieś dostała ulgi, wolne soboty, itd. Aby kółka były silne, nie należy ich odnawiać. Odnowić to pomalować wapnem ścianę, która pozostanie stara. Kółka trzeba gruntownie odbudować. Trzeba ich bronić i stwarzać wokół nich odpowiednią atmosferę, gdyż w kawiarniach obmyśla się, jak rozbić strukturę partii, ZSL i organizacji kółkowych.

I bardzo dobrze, że ktoś wreszcie tak powiedział, nie można bowiem pomijać milczeniem zjawisk i spraw, które istnieją, dzieją się wokół nas.

Sprawa zrzeszania się rolników została „wyjęta" z projektu ustawy o związkach zawodowych. W Sejmie skrytykowano projekt ustawy o samorządzie rolniczym. I dlatego na wsi bez przerwy debatuje się, gada, polemizuje. Wiecują obie strony, a wiosna tuż — tuż. Zapomina się, że wypłukana ze składników ziemia wymaga szczególnej troskliwości. Trzeba rozsiewać wapno i nawozy mineralne, których jest za mało. Wysiewanie ziarna niekwalifikowanego i sadzenie złej jakości krajanych ziemniaków także obniży plony. Wojewódzkie Biuro Geodezji i Terenów Rolnych ma konsultować z gminami, które grunty wypadające z produkcji dać chłopom. Wskutek „wielkiego gadania" może się zdarzyć, że tej wiosny nie uzgodni się, kto ma tę ziemię wziąć i część będzie leżała odłogiem.

Wszyscy debatują, wiecują, a ziemia czeka. Społeczeństwo zaś czeka na żywność. Jeżeli szybko i skutecznie nie ureguluje się spraw społecznych na wsi, to nie tylko ta wiosna, ale i cały rok będzie najcięższy w historii Polski Ludowej.

RYSZARD BINKOWSKI

ULOTKA SPRZED LAT

Tę ulotkę mam w swoich zbiorach. Ukazała się ona w 1917 roku. Została wydana w jednym z miasteczek Kielecczyzny, w Busku, z okazji setnej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki. Wśród dwunastu członków komitetu organizacyjnego znajduje się także nazwisko mojego ojca. Może dlatego ta ulotka tak długo przetrwała w naszym domu.

Rocznica śmierci Kościuszki przypada na 15 października. Ale już dzień 14 października ogłoszono w powiecie świętem narodowym. Ulotka podaje szczegółowy plan obchodów tego święta: poświęcenie kopca, sprzedaż medali pamiątkowych, kwesta publiczna we wsiach i miasteczkach powiatu, zawiązanie powiatowej instytucji dobroczynności im. Tadeusza Kościuszki, odegranie przez koło amatorskie obrazu scenicznego z 1863 roku pt. „W górę serca". Autorzy ulotki wzywali: „Gdy będziemy podli, chciwi, interesowni, nie dbając o swój kraj ojczysty, natenczas nie spodziewajmy się lepszej przyszłości. W dniu 14 i 15 października 1917 roku — jak Polska długa i szeroka — wszędzie, gdzie pobrzmiewa tylko mowa polska, święcić będą Polacy rocznicę zgonu naszego Bohatera". W postscriptum czytamy: „Młodzieży, stawaj w szeregi chętnych do pracy, abyś własnemi rękami usypała i uporządkować mogła pagórek, na którym ma stanąć pomnik Kościuszki".

Byłem na poświęceniu kopca. Nie miałem jeszcze czterech lat, ale to wydarzenie pamiętam. Może mojej pamięci dopomogły zachowane dwie pocztówki z tej uroczystości? Na fotografii widać ludzi, jak oblepiają szczelnie całe wzgórze. Na szczycie powiewają chorągwie. Porządku pilnują strażacy. Stroje wiejskie mieszają się z miejskimi. Wieś brała udział w tym wydarzeniu. Tradycja kościuszkowska w tych okolicach była (i jest dzisiaj) żywa. Bliskość Krakowa, Racławic, Połańca nie pozwalała zgasnąć legendzie. W pobliżu leżą miejscowości, w których obozował Naczelnik: Sieczków, Pacanów, Konary.

Tę ulotkę (którą wydano 13 września 1917 roku, a więc niecały miesiąc trwały prace nad uporządkowaniem, jak pisali autorzy odezwy, pagórka, na którym miał stanąć pomnik Kościuszki) i te fotografie przechowuję starannie. Traktuję je jako pamiątki rodzinne. Ale nie tylko. Ta ulotka to konspekt powieści o ludziach owego czasu ze wsi i z miasta, którzy czekają na wyzwolenie swojego kraju. Wolność miała przyjść dopiero w roku następnym. Ale oni o tym jeszcze nie wiedzą. Przeczuwają ją. Spodziewają się jej. Niektórzy pracowali w POW. Wzrusza styl odezwy, miejscami naiwny, miejscami pretensjonalny. Ulotka powiela obiegową legendę Kościuszki, narodowego świątka, ale na dnie tego społecznego wezwania kryje się zaangażowanie, serce umiłowanie ojczyzny. Opowiedzieć historię tych dwunastu, działających w małym miasteczku i okolicznych wsiach, to bardzo kusząca ponęta.

Nie wiem, może do tego dojdzie. Zbieram dokumenty z tamtego czasu. Gromadzę pisma i wypowiedzi działaczy ludowych, i tych, którzy są znani, i tych, którzy zostali tylko w pamięci swoich rodzin. Badam jak się przechowuje tę pamięć. Zbieram więc pamiętniki dzisiejszej młodzieży i ludzi starszych. Zachowałem na przykład jeden z egzemplarzy „Chłopskiej Drogi" z ubiegłego roku, w którym ukazał się szkic o zmarłej w październiku 1975 roku poetce ludowej Paulinie Hołyszowej. W wierszach Hołyszowej znalazłem te same wątki, które odczytuję w ulotce kościuszkowskiej. W jednym z utworów „O, grudko mojej ziemi" czytamy:

O, grudko mojej ziemi!
O, relikwio święta!
Jakaś siła nas razem
łączy niepojęta!
Ty czujesz w mojej dłoni,
jak krąży krew moja,
Ta krew, co we mnie tętni,
to krew przecież twoja...

Zajrzałem do owej ulotki sprzed lat, do fotografii przedstawiających poświęcenie kopca Kościuszki w małym miasteczku, przeczytałem wiersze poetki ludowej z Chełmszczyzny. W starym druku i wierszach znalazłem otuchę na przyszłość. Bowiem są w naszym życiu wątki, które nigdy nie umierają.

TADEUSZ PAPIER

BEŁCHATÓW — NA DRUGIM PLANIE

(Dalszy ciąg ze str. 1)

czeństwa obiekt zaczął przynosić jak najszybciej efekty.

— *Jak głęboko znajdują się pokłady węgla?*

— Średnio złoża bełchatowskie zalegają na głębokości 150 m, podczas gdy widoczna warstwa odkryta została na głębokości 94 m.

— *Gdyby już teraz gotowy był pierwszy blok energetyczny, czy kopalnia byłaby w stanie zabezpieczyć dla niego węgiel?*

— Z dużymi trudnościami, ale... tak.

— *Czy powstające bloki będą miały również sukcesywne, wystarczające dostawy?*

— Tak. Pod warunkiem, że równie sukcesywnie likwidowane będą piętrzące się przed nami trudności.

— *Czy ostatnia Komisja Rządowa w dniu 24.II.br. w Pana odczuciu, wniosła zapowiedź radykalnych zmian?*

— Jest to już któraś z rzędu, zdaje się szósta Komisja Rządowa i jeżeli kultywować będzie tradycje poprzednich, to możemy oczekiwać jedynie na dalsze... zapowiedzi i obietnice. Liczę jednak na to, że coś się przecież w Polsce zmieniło

— *Oglądałem teren budowy kopalni, ogromny „wkop udostępniający", czy jak się to tam po waszemu nazywa. Jest on szeroki na jeden kilometr, długi na półtora. Będzie się jednak przecież wydłużał...*

— ...na 12 kilometrów.

— *Właśnie. Czy nie spowoduje to jakichś zagrożeń ekologicznych? Już teraz obserwuje się proces wysuszania kopanych studzien, niektórych drzew, ludzie w Bełchatowie przebąkują o dalszych wstrząsach. A co będzie z nadkładem ziemi? Czy istnienie obok siebie z jednej strony ogromnej depresji, z drugiej olbrzymich zwałów ziemi do wysokości 170 metrów, nie spowoduje dalszych zagrożeń?*

— Istotnie. Przystępując do budowy kopalni, z góry założyliśmy wypompowanie wody z obszaru o promieniu 30 km (pas szerokości 60 km). Dla przeciwdziałania skutkom leja depresyjnego budujemy ponad 30 ujęć wodnych i ponad dwa tysiące kilometrów sieci wodociągowej dla wsi leżących na tym obszarze. Uwzględniając jednak zaistniałe fakty, prowadzimy w tym zakresie szczegółowe obserwacje przez powołany do tego instytut sejsmologii.

— *Czy przewiduje się dalsze rozszerzanie terenu kopalni poza planowane tereny? Jeśli tak, to gdzie i kiedy? I czy spowoduje to także dalszą rozbudowę elektrowni?*

— W II etapie, to znaczy w latach 1982—89, przewidywana jest budowa odkrywki Szczerców i budowa drugiej elektrowni — Osiny. Prace przygotowawcze do budowy nowej kopalni rozpoczęły się w 1980 roku. Przełożono tam już częściowo koryto rzeki Kresówki, doprowadzono sieć wysokiego napięcia, prowadzi się prace niwelacyjne.

* * *

Bełchatowski Okręg Przemysłowy rozciąga się na przestrzeni 2 tys. km kw. W najbliższym sąsiedztwie kopalni — elektrownia. W 1875 roku rozpoczęto pracę wstępne przy jej budowie (karczowanie lasów, przygotowanie zaplecza budowy, drogi, niwelacje terenu). Właściwie prace przy budowie samej już elektrowni rozpoczęto w 1977 roku. Całkowite ukończenie obiektu przewidziane było na rok 1986, tzn. wybudowanie 12 bloków energetycznych i przekazanie całej elektrowni użytkownikowi. Nie oznacza to, oczywiście, przy tego typu prototypowych obiektach, zejścia z placu budowy wszystkich wykonawców, z uwagi na konieczność prowadzenia robót modernizacyjnych i remontowych.

— *Jak wygląda stan „na dzisiaj"?* — pytam dyrektora budowy, inż. Romejkę.

— W istniejącej sytuacji gospodarczej trudno przewidzieć ostateczny termin zakończenia budowy. Już w chwili obecnej jest opóźnienie co najmniej półroczne na I bloku Głównym źródłem opóźnień są braki dostaw urządzeń i materiałów krajowych oraz z importu, a także poważny deficyt siły roboczej. Nie chcę jednak niczego przesądzać, gdyż sytuacje zmieniają się niemal z godziny na godzinę: czynione są ogromne wysiłki państwa dla realizacji tych dostaw. Wierzę, że I blok da krajowi energię jeszcze w bieżącym roku. Zaawansowanie robót budowlano-montażowych daje nadzieję, że w tym i następnym roku wprowadzi się do eksploatacji 3 bloki energetyczne po 360 MW każdy. O ile zostaną zabezpieczone rytmiczne dostawy.

— *Czy polepszyło się ostatnio?*

— Może przykład z ostatniej chwili: wczorajsze wahadło kruszywa do betonu przyszło w nie oczyszczonych po węglu wagonach, co kompletnie dyskwalifikuje przydatność tego kruszywa do betonu. Cały transport — około tysiąca ton — został zniszczony i zamiast do betonu, tak pilnie potrzebnego budowie, zużyje się ten drogocenny materiał na podsypki pod drogi. Jest to wyjątkowe niechlujstwo, biorąc pod uwagę chociażby koszt uzyskania (czerpie się kruszywo spod wody) i transportu. Transport nadszedł z Zielonogórskich Zakładów Eksploatacji Kruszyw — kopalnia Wojanowo.

* * *

12 bloków po 360 MW. 4320 megawatów — docelowa moc bełchatowskiej elektrowni. To tyle, ile wybudowano w ciągu całego 25-lecia w polskiej energetyce na węglu brunatnym — łączna moc zespołu Pątnów, Adamów, Turów, Konin. Największe przedsięwzięcie w historii polskiej energetyki, jedna z większych inwestycji tego typu w skali światowej. Ponad 20 proc. całej energii elektrycznej PRL. Budowa elektrowni i kopalni musi być jednak rozpatrywana łącznie z inwestycjami towarzyszącymi zarówno zaplecza technicznego (stołówki, magazyny, warsztaty), jak i socjalnego ((handel, usługi, mieszkania). Dla budowy „Bełchatowa" inwestycje towarzyszące mają wyjątkowe znaczenie. Decydują o uzyskaniu podstawowych efektów produkcyjnych. 9-tysięczne w 1973 roku miasteczko musi niemal z dnia na dzień przekształcić się w miasto 70—100-tysięczne.

Zbudowanie miasta uzbrojonego we wszystkie usługi dla napływającej szybko ludności z całego kraju, ludzi przyzwyczajonych już do określonego standardu, jest przedsięwzięciem, które winno wyprzedzać o kilka lat tak wielką inwestycję, jaką jest budowa kopalni i elektrowni, by z dużym trudem ściągnięte załogi mogły znaleźć tu choćby podstawowe warunki do życia. Minął już bowiem bezpowrotnie czas, gdy budowniczym musiało wystarczać łóżko i kiosk z piwem. Przybywają tu bowiem zarówno wysokiej klasy fachowcy, którzy niemało już świata zjeździli, dużo widzieli, jak i ludzie pragnący na Wielkiej Budowie znaleźć swoje miejsce na ziemi.

Wiemy, że tak należy budować. Przy centralnym planowaniu jest to przecież możliwe, a mimo to, mimo smutnych doświadczeń z innych budów, wciąż popełniamy te same błędy. W Bełchatowie budowano przede wszystkim obiekt podstawowy, a inwestycje towarzyszące pozostawały w rażącej sprzeczności z Wielką Budową.

Niech zobrazuje to fakt, że z roku na rok nie były wykonywane plany budownictwa. W roku 1980, na planowanych 286 mieszkań z budownictwa zakładowego przekazano elektrowni zaledwie 40. Na 1150 mieszkań z budownictwa spółdzielczego, jakie elektrownia miała otrzymać do końca roku 1980, nie otrzymano ani jednego mieszkania. Powoduje to paradoksalną sytuację: na 2000 pracowników elektrowni aż 1300 mieszka w hotelach robotniczych i na prywatnych kwaterach. Z tej skąpej puli budownictwa mieszkaniowego trzeba więc około 30 proc. mieszkań przeznaczyć na robotnicze hotele. A w ogóle dwunastotysięczna rzesza budowniczych BOW mieszka w hotelach robotniczych.

Kwatery prywatne dla załóg rozrzucone są w promieniu kilkunastu nawet kilometrów. Dzisiejszy Bełchatów nie jest w stanie sprostać ilościowym potrzebom (elektrowni, kopalni, Pomorskiemu Kombinatowi Budowy Elektrowni). Łączy się z tym problem dowozu pracowników. Jest to problem niebagatelny: na teren budowy kopalni i elektrowni dowozi się codziennie około 17.000 pracowników z miejscowości odległych nawet o 60 km. Stąd konieczność uruchomienia około 350 autobusów dowożących codziennie pracowników z blisko 200 miejscowości. W kontekście trudności paliwowych, braku zajezdni, zakładów naprawczych, hoteli dla kierowców, itd., dyspozycyjność taboru jest niezadowalająca. Ludzie tłoczą się, jeżdżą na stojąco, zmęczeni przyjeżdżają do pracy.

— Wymienione problemy przekraczają nie tylko możliwości Bełchatowa, województwa czy nawet resortu — mówi mgr inż. Emil Kurpiel, główny specjalista do spraw pracowniczych. — Wymagają pełnego zaangażowania wielkich środków dewizowych, całego polskiego przemysłu, koordynacji między resortami. Bełchatów to miejsce pracy ludzi młodych, którzy przybyli tutaj z żonami i dziećmi. Tu pragną zdobyć kwalifikacje, otrzymać mieszkanie, osiedlić się. Gdy nadzieje zawodzą — uciekają. Fluktuacja u nas jest duża.

— Stan jest krytyczny — mówi inżynier Jerzy Gramatyka. — Kopalnia w bieżącym roku powinna zatrudniać 8300 pracowników, w chwili obecnej pracuje 6094 osób. Niedobór ten spowodowany jest brakiem mieszkań. Jest to powodem wegetacji kopalni, nie osiąga się zamierzonych efektów eksploatacyjnych, narastają coraz poważniejsze opóźnienia w budowie. Brak ludzi to sprawa równie dotkliwa, jak brak odpowiedniego sprzętu, części zamiennych, ect. Dla zabezpieczenia planowanego zatrudnienia program inwestycyjny na lata 1975/80 przewidywał wybudowanie dla załóg górniczych 4801 mieszkań. Na koniec roku 1980 oddano ich 1873. W wyniku karygodnego stosunku resortu budownictwa do tej priorytetowej inwestycji oraz ignorowania Uchwały nr 168 Rady Ministrów przez resorty i instytucje odpowiedzialne za realizację inwestycji towarzyszących, Bełchatów stał się jedną, w dodatku kiepską sypialnią, w niczym nie przypominającą organizmu miejskiego z jego podstawowymi funkcjami.

Z zakresu wspomnianej uchwały Rady Ministrów nie zrealizowano w zasadzie prawie niczego: nie rozpoczęto nawet budowy przychodni górniczej, przewidzianej do oddania w... 1979 roku. Z czterech województw nadal dowozi się chleb, brak jest: szkół, przedszkoli, żłobków w osiedlach mieszkaniowych, oczyszczalni ścieków, pralni chemicznej, stacji obsługi samochodów, zespołu szkół górniczo-energetycznych, masarni, piekarni, szpitala, zespołu obiektów sportowo-rekreacyjnych, etc., etc. Z długiej listy wspomnianej Uchwały nr 168 nie zrealizowano w zasadzie prawie niczego.

Na naradzie z Komisją Rządową wojewoda piotrkowski załamuje ręce:

— 45 proc. całej puli przeznaczonej na województwo pochłania Bełchatów z krzywdą dla innych miast i miasteczek;

— po co przyśpieszać budowę bloków elektrowni, skoro nie będzie miał tam kto pracować. Bez mieszkań ludzie nie przyjdą.

— cała Polska ma budować Bełchatów, tak jak Hutę Katowice — mówi minister energetyki. — Podejmę na szczeblu centralnym decyzję, aby wydzielić z planu województwa piotrkowskiego budownictwo mieszkaniowe i towarzyszące.

— dźwigi stoją, brak mocy przerobowych, ze źle zbudowanych domów trzeba wyprowadzać mieszkańców — dodaje naczelny dyrektor kopalni, mgr inż. Stanisław Drozdowski.

* * *

Poszedłem śladem tej wypowiedzi. Jestem w mieszkaniu pracownika kopalni, Andrzeja Zamorskiego, na Osiedlu Dolnośląska 111 m. 17. Prócz gospodarza zastaję żonę z trzymiesięcznym i rocznym dzieckiem.

— Otrzymałem nowe mieszkanie we wrześniu — mówi Zamorski. — Już w październiku zaczął na ścianach pojawiać się grzyb, pleśń, zgnilizna.

Gospodyni przynosi dwie świece, bo z nieznanych nikomu przyczyn już od dwóch dni brak tutaj prądu, pan Andrzej biegnie do sąsiadów po elektryczną latarkę. Rozglądam się po mieszkaniu. Na ścianie, tuż przy podłodze, rosną grzyby. Po ścianie spływa strużkami woda, pod sufitem, na całej długości, jak po pożarze, osmolona, czarna, cuchnąca zgnilizną pleśń. Gnije już parapet, wykładzina podłogowa.

— To jeszcze nic. Proszę wejść do drugiego pokoju — mówi właścicielka mieszkania.

Z sufitu kapie woda, wilgotny chłód przenika do szpiku kości. Nie ma mowy o wstawieniu tu mebli. Mimo to widzę posłany tapczan, dotykam ręką pościeli — mokra, na wykładzinie podłogowej odciśnięte, wilgotne ślady moich nóg.

— Trudno ustrzec dziecko, by nie wchodziło do tego pokoju. Tyle tu wolnego miejsca do zabawy. Wystarczy, że wyjdę na chwilę do kuchni... Dzieci właściwie nie wychodzą z domu — wyjaśnia młodziutka matka. — Wciąż przeziębione, do dzisiejszego dnia nie zaszczepione ze względu na chroniczny kaszel.

W kuchni również nie lepiej, nie ma mowy o zawieszeniu firanek, zasłon — ściana nad oknem, pod oknem spleśniała i zgniła. To samo w ubikacji, w łazience. Jedyny bardziej suchy kąt, gdzie można postawić dziecinne łóżeczko, to przedpokój.

Wciskam się w kożuch — zimno, nie grzeją kaloryfery, choć mróz na dworze. Blok jest tak przedziwnie pomyślany, że gdy nie ma światła, nie działa też ogrzewanie.

— Od października ubiegłego roku, na zmianę z żoną, aż do znudzenia meldujemy bezskutecznie w administracji mieszkaniowej. Wielokrotnie przychodziły komisje, kiwali głowami, to wszystko.

Zwiedzieli się sąsiedzi o mojej wizycie, przyszli wszyscy z czwartego piętra, zapraszają do siebie, pokazują. Wszystkie pomieszczenia na tym piętrze wyglądają tak samo. Wymienione „usterki" dotyczą całej kondygnacji. Mówi się o przeprowadzeniu ekspertyz, żeby sprawdzić, czy pomiędzy murami jest izolacja, proponuje im się wreszcie przeprowadzkę do innego (nie wykończonego jeszcze) bloku, ale mieszkańcy już mają stamtąd sygnały, że i tam pojawia się wilgoć i pleśń. Wstrzymano zresztą budowę bloków 102, 104, 110. Sprawą zajęła się „Solidarność". Sporządzony przez Komisję Budowlaną NSZZ „Solidarność" przy kopalni węgla protokół jest załącznikiem do pisma złożonego w dniu 30 stycznia do prokuratora.

— *Co państwo zamierzają robić, jeśli w dalszym ciągu w najbliższym czasie sytuacja nie ulegnie zmianie?* — pytam.

— Będę usiłowała ich przetrzymać — mówi pani Maczugowska. — Na trzecim piętrze też już zaczyna płynąć woda po ścianach i pojawiać się grzyb. Gdy przeniesie się jeszcze na niższe piętra, może wreszcie trzeba będzie rozebrać tę cholerną chałupę.

Korzystając z okazji licznie zgromadzonych mieszkańców tego osiedla chcę się dowiedzieć, jak oceniają w ogóle warunki swego tu bytowania.

— Do najbliższego sklepu mamy około 2 kilometrów — mówią jeden przez drugiego. — Dojście do bloku... całe szczęście, że mróz, szkoda, że nie był pan tutaj, gdy były roztopy. W tym bloku mieszka 20 rodzin, większość z nich ma dzieci w „wieku żłobkowym". Młode matki z reguły nie pracują z powodu braku żłobka. Podobnie wygląda sytuacja z przedszkolami. Choćby człowiek nawet się zdecydował na wielokilometrowe, piesze wędrówki z dziećmi (brak komunikacji w tym dużym, rozległym już mieście), to i tak jest znikoma szansa przyjęcia ich do przedszkola. Do szkoły podstawowej jest około 4 kilometrów. Do nieco bliższej szkoły (2 km) dzieci stąd się nie przyjmuje. Obowiązuje rejonizacja (???). No i brak miejsca.

Mówi Henryk Wawrecki:

— Syn mój, uczeń klasy pierwszej szkoły podstawowej sam przemierza codziennie pieszo te 8-kilometrową trasę (tam i z powrotem). Codziennie też drżę o jego bezpieczeństwo, kilkakrotnie musi bowiem przechodzić przez ruchliwą jezdnię...

— Prawie wszyscy mamy wyuczony zawód, chętnie byśmy pracowały, zwłaszcza, że jesteśmy dopiero na dorobku — wtrąca znowu któraś z kobiet. — Ale co zrobić z dziećmi?...

* * *

Jestem w Szkole Podstawowej nr 4 przy ulicy Lipowej. Tej, która „nie mieści się w rejonizacji" moich poprzednich rozmówców. Rozmawiam z dyrektorem szkoły, mgr M. Stasiakiem. Proszę też o ustosunkowanie się do opisanego powyżej przypadku.

— Nasza szkoła obliczona jest na maksimum 500 dzieci, a w chwili obecnej mieści się w niej już ponad 1000. Mówię „w chwili obecnej", bo za tydzień stan znów ulegnie zwiększeniu — wyjaśnia dyrektor. — Wciąż dochodzą nowi uczniowie wraz z napływającymi nieprzerwanie do naszego miasta pracownikami.

— *Jakie więc perspektywy?* — pytam.

— Żadne. O ile wiem, nic w tej sprawie się nie czyni, nie przewiduje się też niczego na lata przyszłe, a uczniów ciągle przybywa. Stąd właśnie ta nieszczęsna rejonizacja: spoza naszego rejonu nie przyjmiemy już ani jednego dziecka, nie pomogą żadne zaświadczenia lekarskie (ludzie szukają różnych dróg wyjścia). Od września musimy otworzyć dodatkowo nowe oddziały i przyjąć ponad 100 dzieci.

— *Gdzie je umieścicie?*

— Albo na korytarzu — niby uśmiecha się dyrektor — co też byłoby trudne, bo na korytarzu odbywają się lekcje wychowania fizycznego, albo na trzecią zmianę. Na czwartą jednak już się nie zdecyduję.

* * *

— *Co jest przyczyną tych ogromnych zaniedbań?* — pytam przewodniczącego Miejskiej Komisji Planowania w Bełchatowie, K. Ochnickiego.

— Brak nakładów inwestycyjnych od 1975 roku. Uchwała Rady Ministrów nr 168 obowiązuje do tej pory. Niestety, jest tylko martwym dokumentem i niczym więcej. Nie zrealizowano najważniejszych inwestycji, przewidzianych do roku 1980. Co więcej: nie rozpoczęto ich nawet. Z ogromnej listy zaplanowanych dla Bełchatowa wykonano zaledwie trzy. Szczególnie beznadziejnie i groźnie przedstawia się sprawa ujęcia wody. Wykonawca, którym jest przedsiębiorstwo PBIM „Inżynieria Łódź", niesolidnie wykonało zlecone mu zadanie, a następnie, mimo zobowiązań, nie przystąpiono do usuwania poważnych usterek i niedoróbek. Władze miasta występowały wielokrotnie tak do przedsiębiorstwa, jak i do zjednoczenia o jednoznaczne rozstrzygnięcie tej sprawy. Dotychczas nasze interwencje nie doczekały się odpowiedzi. Wobec tego Komisja Rozwoju Gospodarczego i Gospodarki Miejskiej skierowała przed kilku miesiącami tę sprawę do prokuratury. Interwencje u wykonawcy trwają już od końca 1978 roku, a wystarczyłyby przecież 3—4 miesiące na usunięcie braków.

* * *

Powstający okręg górniczy i energetyczny, to — obok tak potrzebnej krajowi energii — także ogromna szansa dla Bełchatowa, awans dla miasta i jego mieszkańców. Istnienie wielkiej inwestycji musi przynieść radykalne zmiany we wszystkich dziedzinach życia. Do tej pory ludność emigrowała stąd w poszukiwaniu pracy, nikt z młodych, kończących studia nie wracał, nie miał po co tu wracać. Trudno nie dostrzec, że dziewięciotysięczne w 1973 roku miasteczko, dzięki powstaniu Bełchatowskiego Okręgu Przemysłowego, zmieniło się już i wciąż zmienia swój obraz, swój standard. Jest już ujęcie wody (choć ciągle wadliwe), jest ciepłownia, wyrastają nowe bloki, osiedla. Dziś 35-tysięczne miasto, a w najbliższej perspektywie 80-tysięczne, musi posiadać sprawną komunikację.

— Proces rozwoju miasta, który w pierwszych latach 70-tych znamionował pewien rozmach, zahamowany został po podziale administracyjnym kraju — mówi naczelnik miasta. — Istnieje jednak teraz nadzieja, że w klimacie odnowy powstaną możliwości zrealizowania pierwotnych założeń gospodarczych miasta i przestanie być ono tylko sypialnią.

HENRYK CZARNECKI

WŁODZIMIERZ TOMASZEWSKI

„SOLIDARNOŚĆ" I KULTURA

Status NSZZ „Solidarność" jednoznacznie określa stosunek nowej organizacji związkowej do problematyki kultury. Stosunek ten wyraża się uznaniem potrzeb kulturalnych ludzi pracy za równie ważne, jak potrzeby socjalno-bytowe. Deklaruje więc związek ochronę nie tylko praw pracowniczych i socjalno-bytowych swoich członków, ale i praw człowieka do uczestnictwa w kulturze, deklaruje również swój współudział w rozwoju kulturalnym naszego kraju.

Na czym więc polegać ma praca związku na rzecz kultury? Po pierwsze, jego działania o charakterze opiniodawczym i wnioskującym odnosić się będą do tego kompleksu poczynań w dziedzinie kultury, który bezpośrednio leży w gestii resortu kultury; ten właśnie kierunek działania zawiera również w sobie problem ochrony interesów pracowników kultury. Po drugie, uważa się nasz związek za bezpośredniego mecenasa kultury, gdyż zamierza prowadzić i finansować własną działalność kulturalno-oświatową na rzecz ludzi pracy.

W ramach pierwszego kierunku dokonano już znaczących kroków obejmujących swym zasięgiem cały kraj (myślę tu o protokołach zawartych 17 listopada 1980 roku w Gdańsku między Komisją Rządową, a Komitetem Strajkowym Pracowników Kultury, zrzeszonych w NSZZ „Solidarność") oraz teren naszego regionu „Ziemi Łódzkiej" (myślę tu o powołaniu przy MKZ „Ziemi Łódzkiej" Komisji Koordynacyjnej Pracowników Środowisk Kultury, która już na pierwszych zebraniach wytyczyła sobie ambitne zadania: komisja ta ma swą tymczasową siedzibę w Muzeum Sztuki przy ul. Więckowskiego).

O drugim kierunku chciałbym tu szerzej pomówić. Zanim to jednak uczynię, sformułuję zastrzeżenie, iż dwa kierunki, o których była powyżej mowa, winny posiadać pewne punkty styczne, które należałoby wykorzystywać w łączeniu określonych wysiłków dla wspólnego dobra.

Dotychczasowa działalność kulturalno-oświatowa związków branżowych osadzała się na bazie utworzonej (formalnie i nieformalnie) z różnych źródeł finansowych: koszty ogólnozakładowe, zakładowy fundusz płac, fundusz socjalny oraz fundusz związkowy. To ostatnie źródło było oczywiście najważniejsze z punktu widzenia merytorycznych potrzeb działalności. Faktem jest jednak, iż zakładowe placówki kultury, tzn. domy kultury, kluby, świetlice, biblioteki, kina związkowe, mimo iż pozostawały pod merytorycznym nadzorem władz związkowych (wydziałów kultury odpowiednich szczebli organizacji związkowej), zawsze miały charakter placówek służby pracowniczej — winny one służyć wszystkim pracownikom danego zakładu, niezależnie od tego, czy ktoś jest w związkach czy nie. Myślę, że taki charakter tych placówek — jeśli one w dalszym ciągu będą istnieć — powinien pozostać. Powstaje natomiast w obecnej sytuacji ruchu związkowego problem merytorycznego nadzoru. Rozwiązanie wyniknie najprawdopodobniej z wzajemnych ustaleń między związkami oraz z proporcjonalności udziału związków w finansowaniu placówki i jej działalności k-o.

Żywić należy nadzieję, że relacja „Solidarność" — związki branżowe w ramach interesującego nas zagadnienia będzie pożyteczna, no i oczywiście kulturalna... Stwierdzić trzeba obiektywnie, iż związki branżowe mają znaczący dorobek w dziedzinie upowszechniania kultury i że dotychczasowy mecenat związkowy nad działalnością kulturalną był istotnym ogniwem w całym systemie upowszechnieniowym w naszym kraju. Nie chcę się w tym miejscu odwoływać do liczb sprawozdawczych, które ostatnimi czasy nie zawsze były prawdziwe. Ogniwo to miało, bądź mogło mieć, swą oryginalność — poprzez takie cechy charakterystyczne, jak: praca w określonym środowisku pracowniczym, potencjalna niezależność (w sposób bezpośredni) pionu kultury związkowej od pionu państwowego, podległego resortowi MKiS. Te cechy, wydaje się i w programie działalności kulturalno-oświatowej „Solidarności" należy szczególnie uwypuklać, jednocześnie tak opracowując program, by nie dopuścić do tych błędów, które ujawniły się w dotychczasowej pracy k-o.

W trakcie jesiennych dni rozliczeń, wysuwania wniosków i postulatów przez załogi pracownicze, w niejednym zakładzie, w którym istniała formalnie działalność k-o, postulowano wstrzymanie dotacji na cele tej działalności i przeznaczenia ich na inne potrzeby załogi (postulaty te w zasadzie nie dotyczyły bibliotek zakładowych). Niektóre dyrekcje zakładów, w których takie tendencje się pojawiły, skwapliwie skorzystały z okazji i niedługo się zastanawiając, podjęły decyzje, by jak najszybciej pozbyć się ciążących im w ich odczuciu placówek kultury. W ten sposób popadliśmy w nurt likwidatorski, który z pewnością pożytku w kulturze nie przynosi — czego uczy rok 1956, w którym również bardzo szybko, ale i bezpowrotnie, zaczęto rozprawiać się z różnymi formami upowszechniania kultury.

Pracownicy, stawiając wnioski o wstrzymaniu dotacji dla formalnie istniejących placówek kultury, mieli swoje w pełni uzasadnione racje, bo trudno się zadowalać formalnie tylko istniejącym obiektem — zadowalać się można jedynie jego rzeczywistą pracą — oddziaływaniem. Intencją robotniczych postulatów nie było zlikwidowanie zakładowych placówek kultury, lecz wstrzymanie bezprzedmiotowego wydawania pieniędzy. Rozumowanie logiczne: niech utrzymują takie placówki ci, którzy z nich korzystają, bądź też zainteresowane resorty, dysponujące odpowiednimi funduszami. Gdyby przeprowadzić badania wśród obecnych uczestników zakładowych placówek kultury, wśród osób objętych rzeczywistym zasięgiem ich działania, okazałoby się, że procent pracowników zainteresowanych zakładów oraz członków ich rodzin w badanym gronie osób był znikomy. Nie należy z tego oczywiście wysuwać wniosków, że zakładowe (a więc i związkowe) placówki kulturalne winny być zamknięte dla środowisk pozapracowniczych, zwłaszcza dla dzieci i młodzieży, emerytów.

O tym, że źle się dzieje w zakresie uczestnictwa kulturalnego różnych środowisk pracowniczych, przekonuje nas niejedno opracowanie naukowe. Dziś więc działacze „Solidarności" muszą sobie przede wszystkim odpowiedzieć na następujące pytanie problemowe: jak zmodyfikować dotychczasową działalność kulturalną, aby rzeczywiście służyła ona ludziom pracy.

Przeglądając dotychczasowe programy i plany pracy różnych instacji „związkowej kultury" stwierdzić można, że ich autorzy mieli szlachetne intencje. Dlaczego w konfrontacji z rzeczywistością plany i programy okazywały się fikcją, dlaczego nie miały pokrycia w konkretnych dokonaniach?

Oto próba odpowiedzi: obecny impas został spowodowany przez centralistyczne decyzje władz związkowej kultury, często mające charakter woluntarystyczny, nieudolność kadry pracowników placówek związkowych, brak właściwego systemu kontroli i rozliczeń z efektów działania każdego pracownika i placówek. Z pewnością odrzucić musimy stary, skostniały i schematyczny system zarządzania związkową kulturą, odrzucić nieprzydatne formy i metody pracy, które sprawiły, że działalność kulturalna związków nie odbejmowała jej głównych adresatów. Związki zawodowe uchodziły za bogatego mecenata kultury. Czy jednak właściwie dysponowano pieniędzmi w interesującej nas dziedzinie? Trzeba by się zastanowić nad przydatnością wielu akcji kulturalnych, które pochłaniały przecież znaczne sumy. Itd., itp.

Organizując działalność kulturalną „Solidarności" trzeba będzie oprzeć ją na ignorowanym dotychczas dorobku i tradycjach polskich oświatowców. Punktem wyjścia — podpowiadają nam teoretycy pracy kulturalno-oświatowej — są aktualne zainteresowania, upodobania i potrzeby kulturalne określonych środowisk. Od nich zaczynając, tzn. wychodząc tym zainteresowaniom i potrzebom naprzeciw, można starać się powoli i umiejętnie owe zainteresowania i potrzeby rozwijać, pogłębiać, rozbudzać nowe — dotykając coraz to nowych warstw życia kulturalnego. Praca taka jednak, bez rzetelnego i fachowego rozeznania w zainteresowaniach i potrzebach środowiska zawsze będzie pracą po omacku. Diagnozy potrzeb kulturalnych trzeba stawiać co jakiś czas — by na bieżąco mieć rozeznanie w zachodzących przemianach, a tym samym dokonywać korekty w działaniu.

Od pracowników upowszechniania kultury wymagać należy, aby dobierali takie techniki, formy i metody pracy, by zapewniały one maksymalną efektywność działań. Wiele tu zależy od umiejętności oraz twórczej postawy pracowników zakładowych placówek kultury. Rzetelnie wykonywana praca k.-o. jest pracą niezwykle trudną — wymaga odpowiednich kwalifikacji oraz wysiłku i wyrzeczeń ze strony pracowników k.-o. Taka praca winna być solidnie wynagradzana; nie można jednak wynagradzać złej pracy czy też nieróbstwa. Tymczasem reprezentatywne badania wykazują nie tylko braki w kwalifikacjach pracowników kultury, ale także występowanie dużego odsetka czasu „nieprodukcyjnego" oraz chaos organizacyjny w ich pracy.

Jedyną w zasadzie podstawą rozliczeń placówek k.-o. z ich działalności były do tej pory obszerne i fikcyjne zarazem programy oraz plany pracy, a także sprawozdania sporządzane przez same placówki. Samorządny charakter „Solidarności" podpowiada nam zasadniczo inny system kontroli. Myślę tu o opinii odpowiednich środowisk pracowniczych, mówiących o tym, na ile „zakładowa kultura" ich satysfakcjonuje i co w tej działalności winno się zmienić. Takie opinie winny być oczywiście uzupełniane w określonych przypadkach fachowymi ekspertyzami. Wreszcie wykorzystać będzie można tę wiedzę, jaką nagromadziliśmy w zakresie badań nad uczestnictwem w kulturze, a przypomnieć wypada, że łódzkie środowisko naukowe ma w tej dziedzinie olbrzymi dorobek i doświadczenie.

Oczywiście, dla prawidłowego funkcjonowania organizmu kultury związkowej „Solidarności" niezbędne jest powołanie odpowiedniej instancji koordynującej, inspirującej oraz wspomagającej organizacyjnie pracę wszystkich instytucji kulturalnych działających pod egidą związku, wszystkich organizacji zakładowych utrzymujących i prowadzących działalność k.-o. W projekcie zakresu działań i struktury wewnętrznej Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej (obecnie MKZ) przewiduje się powołanie w Dziale Organizacyjnym Zarządu stanowiska d.s. działalności k.-o. związku. Wymaga to jednak szczegółowych i przemyślanych ustaleń.

Chciałbym jeszcze podjąć sprawę, która często bywała przedmiotem rozważań w kuluarach związkowej kultury, ale niestety nigdy nie była przedstawiana w oparciu o fakty. Chodzi tu o zespoły taneczne czy też zespoły pieśni i tańca, utrzymywane przez związki zawodowe. Na terenie Łodzi znane są, przynajmniej z nazwy, zespoły: Harnam — działający przy Zakładach im. Sz. Harnama oraz zespół Zakładów im. Marchlewskiego. Te właśnie zjawiska w dotychczasowej kulturze związkowej dawno już przekroczyły ramy interesującej nas kultury pracowniczej. Zespoły te grupują bardzo zróżnicowane grono uczestników, często w dużej mierze nie związanych bezpośrednio z patronującymi im zakładami. Zespoły te w dużej mierze były finansowane przez związki zawodowe. Dziś może to być przedmiotem krytyki. Ale, aby ta krytyka była zasadna, potrzeba wyjaśnienia kilku szczegółów. Zespoły taneczne, czy też pieśni i tańca, powstawały w różnych okresach czasu i w różnych okolicznościach. Jedne, osadzając swoją działalność na autentycznych pasjach ludzkich, zarówno twórców zespołu jak i jego uczestników, stawały się prawie samodzielną instytucją, mającą tradycję i niebagatelny dorobek. Drugie, nastawione były czysto koniunkturalnie — taka moda — trzeba zrobić zespół, zdobyć troszkę kostiumów, no i koniecznie wyjechać za granicę. Ale podróże kosztują! O ile w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych wyjeżdżały tylko te zespoły, które na ogół reprezentowały jakiś poziom i często wyjeżdżały na koszt organizatorów wyjazdu, o tyle w latach siedemdziesiątych doszliśmy do paradoksu. Kto miał więcej pieniędzy, ten wyjeżdżał dalej i dłużej. Zarabiał na tym organizator — w tym polski PAGART, traciły zaś instytucje i związki zawodowe, traciła też polska kultura.

Mechanizm tego był następujący. Mecenas dawał pieniądze pod naporem różnych działaczy, za co miał prawo dołączyć do grupy wyjeżdżającej swego przedstawiciela. Polska Agencja Artystyczna (PAGART) stosowała ostatnio jedyne kryterium — kto da tyle, by pokryć koszty oferty, ten jedzie. Kryterium wartości artystycznych w tej instytucji niewiele się liczyło ostatnimi czasy. W ten sposób dochodziło do wyjazdów. I choć były przygodą dla ludzi młodych, to jednak daleko odbiegały od tego co nazywamy choćby standardem artystycznym. Jakże często zespoły zgadzały się na wyjazdy niemalże koczownicze — wielogodzinne podróże autokarem, groszowe diety w dewizach, ciułane przez członków zespołu po to, by mieć jakąś pamiątkę z podróży (czy ewentualnie kupić dżinsy w Pewexie), występy w warunkach naszego kraju nie do przyjęcia. Z pewnością należałoby położyć kres tak wyrafinowanemu zjawisku handlu amatorską działalnością artystyczną, i to z pewnością jest rola „Solidarności". Nie może w państwie socjalistycznym jedna instytucja, obwarowana szczególnymi przywilejami — a taką instytucją jest PAGART — żerować na innej, w tym na związkach zawodowych. Z pewnością natomiast warto na godziwych warunkach pokazywać i wysyłać za granicę tych, którzy są tego godni. Do tej pory rozchodziły się mity o tym, ile to zarabiają ci nasi eksportowi amatorzy, jak np. harnamowcy. Odpowiedź w zakresie finansowym kryje się w powyższym tekście — każdy wyjazd z PAGARTEM to deficyt, i to wielki, dla zespołów i ich mecenasów. Szczęście jednak, że taki zespół jak Harnam, godny jest takiego deficytu, bo przedstawia za granicą prawdziwą Polskę, pełną bogactwa tanecznego i folkloru. Choć też zupełnym paradoksem jest, iż ten właśnie zespół tak nieudolnie wykorzystują nasi działacze kultury. Dla przykładu: zespół miewa rzadkie tylko okazje do prezentowania swego dorobku na terenie Łodzi. Szczęściem jest również, że choć zespół ten wymaga dotacji na swoją działalność, to jednak dotacje te w pełni się rekompensują. Zespół działający od 1947 roku zjednał sobie olbrzymią rzeszę (już pokoleń) uczestników, grupy dziecięce, młodzieżowe i dorosłe. Myślę, że takie zjawiska trzeba otaczać szczególną opieką — w przeciwieństwie do wspomnianych tzw. zespołów koniunkturalnych. (Gdyby przeprowadzić weryfikację istniejących zespołów tanecznych w Łodzi, to o jej wyniki w stosunku do takich zespołów, jak Harnam czy Marchlewski, jestem spokojny.

Zachowując oryginalność tych zjawisk, wyrosłych na gruncie prawdziwie związkowej tradycji, trzeba też zachować ich dalszy związek z ruchem zawodowym w formie ciągłej współpracy, czy też, jak było do tej pory, merytorycznego nadzoru, trzeba też domagać się finansowego wsparcia, dla nich nie tylko od związków zawodowych. Wszelka inna pomoc finansowa, tzn. pochodząca spoza ruchu związkowego, nie może jednak oznaczać jakichkolwiek dodatkowych zależności, będących jakże często przyczyną unifikacji działalności kulturalnej.

O ALEKSANDRZE KAMIŃSKIM

Szanowny Panie Redaktorze.

nawiązując do artykułu o profesorze Aleksandrze Kamińskim zamieszczonym w 4 numerze Odgłosów z bieżącego roku pragnę zwrócić uwagę na zaangażowanie profesora w popularyzowanie idei pracy socjalnej w Polsce oraz kształcenia pracowników socjalnych.

Poczynając od lat sześćdziesiątych profesor A Kamiński dużo uwagi poświęcał konstruowaniu przesłanek polskiej jak nazywał teorii pracy socjalnej oraz był orędownikiem kształcenia pracowników socjalnych w Polsce. Wskazywał także na potrzeby doskonalenia zawodowego i osobowościowego honorowych pracowników socjalnych np opiekunów społecznych kuratorów społecznych itp.

Główny nurt rozważań A. Kamińskiego nad teorią pracy socjalnej szedł w kierunku znalezienia dla niej oparcia w przesłankach pedagogiki społecznej. Stanowisko w tej kwestii wyłożył autor w artykule pt. „Teoria pracy socjalnej a pedagogika społeczna" (1978) Sformułował tu tezę o symbiozie pedagogiki społecznej i teorii pracy socjalnej która wyraża się nie tylko we wzajemnych powiązaniach dyscypliny naukowej i szczegółowej teorii ale przede wszystkim w korzyściach jakie z tego związku wynosi teoria pracy socjalnej.

Zdaniem A. Kamińskiego najbardziej znaczącą przesłanką pedagogiki społecznej, która z powodzeniem może służyć teorii pracy socjalnej jest idea sprzężenia zwrotnego. Wskazuje ona na wzajemne związki między jednostką i środowiskiem. Umożliwia zdaniem A. Kamińskiego wypracowanie „teorii skutecznego ujawniania, pobudzania i utrwalania sił ludzkich w środowisku".

Równie znaczące dla wzbogacania teorii pracy socjalnej stało się włączenie do niej idei wskazującej na wychowawczą funkcję wielu działań określanej jako wychowanie towarzyszące. Wynika ona z założenia że proces wychowania może odbywać się w różnych sferach i okresach życia człowieka oraz może być realizowany zarówno przez wychowawców zawodowo do tego przygotowanych jak też innych ludzi, spełniających funkcje rzeczowe a przy okazji wykonywania swych podstawowych zadań oddziałujących wychowawczo.

Włączenie tych dwu przesłanek pedagogiki społecznej do teorii pracy socjalnej dało racjonalne uzasadnienie dla działań pracownika socjalnego zachęcając go do nieinstrumentalnego traktowania pacjenta podopiecznego, wychowanka oraz postrzegania go jako podmiot działań społeczno-wychowawczych w środowisku.

Niezwykle ważną konsekwencję przyjętych do teorii pracy socjalnej przesłanek pedagogiki społecznej stanowi obraz pracownika socjalnego, który jest w tym świetle równolegle wychowawcą i badaczem To stanowisko A. Kamińskiego stanowiące kontynuację H. Radlińskiej ma humanitarny walor. Daje ono szanse pracownikowi socjalnemu do tego, aby mógł stale doskonalić siebie, swój warsztat pracy oraz wzbogacać i przekształcać środowisko, w którym pracuje. W tej koncepcji pracownik socjalny nie jest tylko posłusznym wykonawcą zadań programowanych przez innych lecz jak pisze A. Kamiński „twórczym praktykiem". Z założeń tych wynikają konsekwencje dla kształcenia i doskonalenia pracowników socjalnych zarówno adeptów do tego zawodu jak i osób wykonujących go. Zdaniem A. Kamińskiego szczególnie ważne jest to, aby kształcenie sprzyjało „identyfikowaniu się z modelem pożądanym pracownika socjalnego"

Trzeba także przypomnieć, że trudny proces powstawania szkół pracowników socjalnych w Polsce, zdobywania pozycji tego zawodu i uzasadniania potrzeby kształcenia profesor A. Kamiński wspierał licznymi publikacjami np.: „Funkcja wychowawcza pracy socjalnej" Pedagogika społeczna dla potrzeb pracowników socjalnych" oraz osobistym zaangażowaniem. Wyrażało się to między innymi we współdziałaniu w układaniu programów nauczania dla szkół socjalnych a także bezpośrednim zainteresowaniem profesora w pierwszym okresie funkcjonowania trzeciej w Polsce szkoły kształcącej pracowników socjalnych, a zlokalizowanej w naszym mieście

Z wyrazami szacunku
Ewa Marynowicz-Hetka

„WSZYSCY LICZĄ NA NIK"

Przeczytaliśmy w „Głosie Robotniczym" informację „Wokół modrzewiowego dworku" powiadamiającą czytelników że Zarząd Lasów w Łodzi, miał do dyspozycji „70 000 metrów kwadratowych" drewna modrzewiowego i sprzedał z tej ilości nabywcy zaledwie 40—50 m sześc. drewna na domek letniskowy.

Informacja ta nam, członkom Ligi Ochrony Przyrody wyrządziła dużą przykrość. Jak łatwo jest opinię ludzką wprowadzić w błąd.

Toteż list Ob. Jerzego Urbańskiego w „Odgłosach" uważamy za głos sumienia ludzi uczciwych i w całości podzielamy jego zdanie

Ze swej strony obowiązkiem naszym jest dorzucić garść informacji.

Morzew jest gatunkiem ginącym i chronionym intensywnie przez leśników wprowadzany do zalesień. Na terenach leśnych OZLP w Łodzi, modrzew występuje pojedynczo a w województwie skierniewickim w ur. Trębaczew znajduje się maleńki rezerwat modrzewiowy, bez prawa pozyskania drewna przeznaczony wyłącznie do zbioru szyszek z drzew rosnących.

Modrzew w ujęciu powierzchniowym w kraju w stosunku do innych występujących gatunków stanowi zaledwie 0,001 ha powierzchni (sosna 73 proc.)

OZLP w Łodzi za pośrednictwem jednostek terenowych prowadzi każdego roku sprzedaż detaliczną dla rolników na zlecenia urzędów wojewódzkich i gminnych w ilości ca 70.000 m sześc. drewna z gatunków pozyskanych na zrębach w tym sosny 96 proc. Drewna modrzewiowego przeznaczonego na sprzedaż detaliczną nie ma.

Drewno modrzewiowe sprzedawane na „dworki" pochodzi ze ścisłego rezerwatu świętokrzyskiego (Park Narodowy), pozyskane systemem posztucznego pładrowania. Modrzew ma silny i głęboki system korzeniowy i wiatrowały nie zdarzają się.

Nabywcy drewna modrzewiowego zostali namówieni i zachęceni przez jednego z zastępców dyrektora OZLP w Łodzi i on w głównej mierze ponosi winę.

Członkowie Ligi Ochrony Przyrody
(3 podpisy)

„W STRONĘ DRUGIEJ POLSKI"

Jestem ciekawy jak długo będzie trwała ta dyskusja i polemika na temat obiektu budowanego dla KW PZPR w Skierniewicach. Wiadomo jest tutejszemu społeczeństwu, że Przychodnia Rejonowa w Skierniewicach znajduje się w baraku godnym pożałowania. Beznadziejne są warunki sanitarne i panująca ciasnota wewnątrz. Miejsc siedzących jest bardzo mało. Chorzy ludzie stoją na korytarzu i na dworze o każdej porze roku. Lekarze przychodzący na zmiany szukają wolnego gabinetu, w którym mogliby przyjmować pacjentów. Nietrudno sobie wyobrazić, jak w takich warunkach czują się rodzice ze swoimi małymi pociechami przychodzący do tej przychodni. Obserwuję to często, ponieważ sam jestem jej pacjentem. (...)

Uważam, że nie ma tu potrzeby dalej na ten temat dyskutować, gdyż stwarza to niezdrową atmosferę, a „Wiadomości Skierniewickie" również winny zaprzestać tej walki. Być może same chcą swą siedzibę zlokalizować w pałacu przy ul. Mszczonowskiej w Skierniewicach. Przekazanie służbie zdrowia gmachu budowanego dla KW PZPR w Skierniewicach byłoby zgodne z zaleceniem premiera Wojciecha Jaruzelskiego. Jego decyzji nie powinniśmy się sprzeciwiać, gdyż jemu ufamy i mamy nadzieję, że wyprowadzi kraj z panującego kryzysu. (...)

Pracowałem w czynie społecznym niejedną niedzielę i święto na potrzeby kraju, partii, nas wszystkich i dlatego dziś w głowie nie chce mi się pomieścić, że niektórzy reprezentanci partii, tak nisko cenią pilne potrzeby społeczeństwa. A zatem, jeśli istnieje prawdziwa wolność wypowiedzi, to proszę o wydrukowanie mojego listu.

Z poważaniem
Józef Gródecki
Radziwiłłów, Bartniki 237

CAŁE MOJE ŻYCIE...

— mówi HANNA MAŁKOWSKA

HANNA MAŁKOWSKA — wybitna aktorka będąca równie świetnym pedagogiem wyróżniona została w tym roku Nagrodą Miasta Łodzi. Z tej okazji poprosiliśmy laureatkę o rozmowę na temat jej działalności artystycznej i pedagogicznej w dziedzinie aktorskiej Nagroda Miasta Łodzi wieńczy sukcesy odniesione przez Hannę Małkowską na tym właśnie polu.

— Od razu powiem, że z nagrody tej nie tylko bardzo się cieszę, ale wręcz jestem z niej dumna. Nagroda miasta to nie tylko bardzo wysokie, ale także ogromnie ważkie w sensie emocjonalnym wyróżnienie. Nie jestem łodzianką, mimo to Łódź jest mi szczególnie bliska i żywię do niej gorące uczucie, które zrodziło się i z głębokiej wdzięczności za to, że przygarnęła mnie przed trzydziestoma laty i za to, że otoczyła niezwykle czułą i troskliwą opieką, że zaoferowała mi takie warunki pracy i życia, w których najpełniej realizowały się wszystkie moje idee i pasje teatralne. Mam naturę wędrowca, ale jeśli tu właśnie zdecydowałem się osiąść i pozostać, to znaczy, że w moim odczuciu tkwi w tym mieście jakiś urok, jakaś zagadka, coś, co daje satysfakcję z pracy nad jego obliczem kulturalnym. Myślę, że tym czymś jest autentyzm Łodzi, która niczego nie udaje, a jest przy tym chłonna i życzliwa wielu inicjatywom. Tak nagannie oceniany przez wielu twórców brak tradycji nie tylko nie powinien nikogo krępować czy obezwładniać, ale winien inspirować i mobilizować do działań kulturotwórczych. Brak tradycji (nie do końca zresztą udokumentowany i prawdziwy) jest okazją do jej tworzenia. Łódź jest moim zdaniem wielką szansą dla twórców i choć mimo najszczerszych chęci niczego dobrego nie mogłabym powiedzieć o jej urodzie, to przecież ma ona w jej miejsce swój, nie zawsze łatwy, ale za to złożony, a przez to ciekawy charakter, prawdziwą osobowość. Ta wyraźnie określona osobowość miasta wydaje mi się jego zaletą największą i przy całej swojej kontrowersyjności najcenniejszą. Ja sama nie zawsze się z tą Łodzią zgadzałam, ale nic nigdy nie umniejszyło sensu mego tutaj działania. Łódź ma dość twardy charakter, ja — też, można zatem powiedzieć, że dobrałyśmy się w tym względzie i rezultat w postaci satysfakcji artystycznych jakich tutaj doznawałam i nagrody, o której dzisiaj mówimy, jest dla mnie korzystny.

— Korzyści z Pani spotkania z Łodzią i zrodzonej z niego długoletniej współpracy są co najmniej obustronne. Publiczność Łodzi zawdzięcza Pani bardzo dużo artystycznych wzruszeń i emocji, a studenci Wydziału Aktorskiego — równie wiele umiejętności zawodowych. Przez wszystkie „lata łódzkie" działała Pani na wszystkich polach teatralnej twórczości. Widzieliśmy Panią w wielu znakomitych rolach, wyreżyserowana przez Panią „Dziewczyna z dzbanem" była pierwszym spektaklem Teatru Nowego, który osiągnął rekordową liczbę dwustu przedstawień. Dojrzali już aktorzy i studenci Wydziału Aktorskiego z uznaniem i wdzięcznością mówią o Pani metodach dydaktycznych...

— No cóż, rzeczywiście oddałam się teatrowi bez reszty. Jest on całym moim życiem.

— Czy mogę zapytać o drogę, która zawiodła Panią na scenę?

— Proszę Pani, w moim przypadku trudno właściwie mówić o „drodze wiodącej ku", bo musiałabym mówić o jakimś momencie życia, w którym dokonałam takiego wyboru, o wyborze w ogóle, o procesie jego dokonywania, o takiej a nie innej decyzji, tym, że była to, jak w przypadkach wielu moich kolegów, decyzja zwyciężająca inne „propozycje na życie". Jeśli zatem nie będę o tym wszystkim mówić, to nie dlatego bym uchylała się od narracyjnej opowieści, ale dlatego, że momentów wyboru w moim życiu nie było. Ja po prostu wybierać nie musiałam, bo nic innego nigdy nie wchodziło w rachubę. I jeśli mówię, że teatr jest całym moim życiem to nie dlatego, że tak dalece mu się poświęciłam rezygnując z jakichś innych życiowych rozwiązań, ale dlatego, że inne rozwiązania po prostu się przede mną nie jawiły. Żeby być dobrze zrozumianą powiem, że tę moją myśl o teatrze, to moje życiowe przeznaczenie ja po prostu przyniosłam ze sobą na świat, urodziłam się z nią, przekazano mi ją w genach. W moim przypadku to przecież sprawa dziedziczna. Jestem wnuczką Władysława Bogusławskiego, krytyka teatralnego i prawnuczką Wojciecha Bogusławskiego — ojca sceny narodowej. Te rodzinne zobowiązania nigdy nie były ciężarem, a zawsze oczywistością. Oczywistą więc było dla mnie rzeczą, że będę aktorką. Ja to wiedziałam... zawsze i kierowana tą świadomością od dziecka przygotowywałam się do tego zawodu. Ćwiczyłam dykcję, przygotowywałam repertuar i spokojnie myślałam o czekającym mnie egzaminie.

— Ukończyła Pani Instytut Reduty stworzony i prowadzony przez wybitnego aktora i reżysera Juliusza Osterwę...

HANNA MAŁKOWSKA: „Mój temperament nie pozwolił mi pozostawać wyłącznie w kręgu zajęć aktorskich".

— Okres Reduty wspominam ze szczególnym sentymentem. Panowała tam wspaniała atmosfera studiów nad sztuką teatru. Osterwa był wybitnym artystą i wspaniałym pedagogiem. Zawdzięczam mu bardzo wiele. Wyniesione z Reduty doświadczenia i umiejętności zawsze owocowały przez całe życie wszystkich jej członków. Z moim mistrzem i nauczycielem stykałam się później w innych teatrach i grając z nim razem doznawałam zawsze szczególnego wzruszenia i jakiejś, nie dającej się zamknąć w słowach suchej relacji, satysfakcji twórczej.

— Zawsze wiedziała Pani, że będzie aktorką, a kiedy poczuła Pani, że nią jest?

— Tak, to rzeczywiście dwie sprawy. Kilka pierwszych lat pracy w teatrze jest dla każdego aktora okresem praktycznej edukacji zawodowej. Uczucie, że potrafi się już absolutnie wszystko — nie pojawia się nigdy, ale przekonanie, że opanowało się już jakąś część tajników tego, proszę mi wierzyć, arcytrudnego rzemiosła, pojawia się zwykle dopiero po kilku latach. Po ilu — to kwestia indywidualna. Ja doznałam tego uczucia po raz pierwszy dopiero w siódmym bodaj sezonie swojej pracy zawodowej, gdy w Wilnie w teatrze kierowanym przez wielkiego Aleksandra Zelwerowicza grałam rolę w sztuce Grzymały-Siedleckiego pt. „Maman do wzięcia". Sztuka nie była arcydziełem, ale tytułową rolą w innych teatrach grały aktorki ze znacznie większym stażem i doświadczeniem. Było to bardzo poważne zadanie aktorskie. Stwierdzono, że mogę je wykonać, pomyślałam więc, że już chyba jestem aktorką. W tym samym zresztą sezonie i w tym samym teatrze grałam z wielką Siemaszkową i to również było nie tylko źródłem satysfakcji, ale widocznym progiem osiągnięcia pewnych umiejętności warsztatowych, tak samo niezbędnych w tym zawodzie jak w każdym innym, choć w tym właśnie potrzebnych szczególnie ze względu na niesłychanie przecież delikatną materię jaką jest sztuka teatru. Mój temperament nie pozwolił mi pozostawać wyłącznie w kręgu zajęć aktorskich. W jakimś momencie narodziła się chęć pełniejszego, większego udziału w kreowaniu artystycznej, teatralnej, innej niż wszystko wokół, rzeczywistości. Ta chęć drzemiąca we mnie szła zresztą w parze z konkretną życiową potrzebą. I obie sprawiły, że zajęłam się reżyserią. Było to w Toruniu, do którego w swoich teatralnych wojażach wracałam kilkakrotnie. Z moim „okresem toruńskim" wiążą się niesłychanie miłe wspomnienia, a pamięć o spędzonych tam latach wróciła do mnie całkiem niedawno. Otóż kilka lat temu na sopockiej ulicy podszedł do mnie jakiś nieznany mi starszy pan i zapytał: czy mogę przywitać się z księżniczką Sieniawianką? Wprawił mnie tym pytaniem w najwyższe zdumienie, okazało się, że pan ów nad wyraz dokładnie pamiętał toruński spektakl „Przepióreczki" Żeromskiego. Grałam w tym przedstawieniu Księżniczkę, rolę Przełęckiego kreował Osterwa. Przyznam, że ten dowód pamięci widza wzruszył mnie ogromnie. Jeśli postacie, którym dajemy swoją fizyczność i swoje uczucia tak długo pozostają w pamięci publiczności, to przecież musi w niej pozostawać każde przesłanie jakie ze sobą wnoszą na scenę. Trudno zatem o lepszy dowód wysokiej rangi społecznej naszego zawodu. To właśnie wydaje mi się najważniejsze.

— Czy to właśnie przekazuje Pani swoim studentom.

— Naturalnie. Ze szkolnictwem artystycznym związana jestem długie już lata. Działalność pedagogiczną rozpoczęłam jeszcze przed wojną ucząc sztuki aktorskiej adeptów teatru toruńskiego. Po drugiej wojnie światowej zaproponował mi ją Wilam Horzyca, działający wtedy przez jakiś czas w Poznaniu, wykładałam więc w tamtejszym Studium Dramatycznym. W roku 1952 pełniłam obowiązki rektora Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Łodzi, a później przez wiele lat byłam dziekanem Wydziału Aktorskiego PWSFTviT im. L. Schillera. Mamy naprawdę zdolną młodzież i z radością obserwuję jej późniejszą pracę w teatrze. Zdarza się zresztą, że po kilku nieraz latach zwracają się do mnie z prośbą o pomoc w zrealizowaniu jakiegoś szczególnie trudnego zadania aktorskiego.

— Widzowie łódzkich teatrów pamiętają wiele wspaniałych Pani ról. Które z nich darzy Pani największym sentymentem?

— Wiele satysfakcji dała mi rola w sztuce „Kobiety z Niskavuori", rola Berty w „Niemcach" i Pani Higgins w „Pigmalionie" Shawa. Jeśli zostały one w pamięci widzów to fakt ten jest największą moją satysfakcją. Teatr jest całym moim życiem i nim — swoim życiem — starałam się dzielić z widzami.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

W OCZEKIWANIU KOLEJNYCH SPOTKAŃ

JERZY KWIECIŃSKI

Kaliski Teatr im. W. Bogusławskiego

Nieporównanie trudniej jest w obecnym momencie, niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich wielu lat zaabsorbować uwagę społeczeństwa tak silnie sztuką, żeby wydawała się ona ciekawsza od życia. Przeciwnie, dostrzega się coraz to częściej, że wiele utworów literatury i sztuki, które jeszcze niedawno targały wyobraźnią i sumieniem, dzisiaj — w konfrontacji z intensywnością przeżywania społecznych emocji — stały się nijakie i mdłe.

Jak — w tej odmienionej sytuacji — kierować teraz działalnością artystyczną placówki, aby to, co się ludziom proponuje mogło ich satysfakcjonować i tym samym zapewniało frekwencję? A zwłaszcza — jak sobie radzić w mniejszych ośrodkach życia kulturalnego?

Nie po to, żeby znaleźć całkowitą i jednoznaczną odpowiedź na podobne pytania, wybrałem się odwiedzić ów typowo prowincjonalny teatr, jeden z wielu w Polsce lecz chyba głównie ze zwykłej ciekawości, jak też sobie poczynają ci, którzy mi — jako swojemu krajanowi — przesyłają zaproszenia na kolejne premiery, a poza tym chciałem przypomnieć czytelnikom łódzkiego regionu o istnieniu tej placówki, mającej od lat dość bliskie związki z łódzkimi teatrami i w ogóle z ogólnopolskim życiem teatralnym.

Wprawdzie sama dawność nie jest najważniejszym elementem tradycji, ani też usprawiedliwieniem dalszego trwania placówki, jeśli nie potrafiłaby ona okazać się ludziom i na dziś potrzebna, ale jednak miło jest mieć za ojca chrzestnego Wojciecha Bogusławskiego, który w 1800 r. powołał tu do życia zawodową polską scenę. Co prawda tradycja kaliskiego teatru — bo o nim tu mowa — nie jest ciągła, bywały bowiem w życiu teatralnym Kalisza jak i gdzie indziej w kraju, wieloletnie przerwy, ale czyż to nie wymowne, że już trzeci z kolei w tym samym miejscu wzniesiony budynek teatralny, malowniczo położony u wejścia do parku, przegląda się w gładkiej powierzchni leniwego nurtu Prosny.

Zbudowany w 1936 r., według projektu Czesława Przybylskiego (projektanta m. in. Teatru Polskiego w Warszawie) należy do najurodziwszych i najbardziej fotogenicznych budowli teatralnych w Polsce, czemu najpewniej zawdzięcza, iż swego czasu pojawił się jako tło akcji w filmowej adaptacji „Brygady szlifierza Karhana".

Kto zresztą chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o dziejach kaliskiej sceny, ten niechybnie znajdzie wiele ciekawych wiadomości w nieocenionych, tysiącstronicowych „Teatraliach Kaliskich" Stanisława Kaszyńskiego, wydanych sumptem ambitnego (wówczas powiatowego) miasta przez Wydawnictwo Łódzkie. Pozwolę tu sobie jedynie na mały rekonesans w międzywojenne dwudziestolecie, aby przypomnieć, że i wtedy, za kolejnych dyrekcji Iwo Galla i Mariana Lenka, stale borykano się z brakiem frekwencji mimo stosowania najrozmaitszych taktyk repertuarowych.

Kaliski teatr dzielił więc losy wielu innych scen polskich, nawet wielkomiejskich, a tu przecież zaplecze ludnościowe było stosunkowo niewielkie, wśród bowiem piętnastu miast mających stały teatr zawodowy jedynie Stanisławów, Grodno i Łuck liczyły sobie mniej mieszkańców (paradoksalnie — niektóre miasta większe od osiemdziesięciotysięcznego wówczas Kalisza jak Lublin, Gdynia, Białystok i Chorzów — ówczesna Królewska Huta, nie miały własnego teatru).

Kłopoty frekwencyjne towarzyszą też bodaj całej powojennej działalności teatru, mimo iż kolejne dyrekcje, m. in. Gintel-Domańskiej, Włodzisława Ziembińskiego, Tadeusza Kubalskiego, Aliny Obidniak, Izabeli Cywińskiej, Zdzisława Wanata — występowały wobec widza z różnorodnymi propozycjami repertuarowymi i inscenizacyjnymi, dając w niektórych okresach przedstawienia bardzo rzetelne aktorsko.

Duże nadzieje wiązano zawsze z powołanymi do życia przez T. Kubalskiego corocznymi Kaliskimi Spotkaniami Teatralnymi, trochę zapewne licząc na to, że — dając miejscowym aktorom możność ogólnopolskiej konfrontacji i zarazem prezentacji przed jurorami i krytykami z wielkich centrów teatralnych, przytrzyma się na dłuższy czas uzdolnioną młodzież, a trochę też — że zdołają one zaszczepić szerszym kręgom miejscowego społeczeństwa nawyk stałego odwiedzania teatru. Ale spotkania, choć każdorazowo wzbudzają ogromne zainteresowanie wśród miejscowych (być może podszyte snobizmem, być może emocjami „sportowej" natury — kto też dobiegnie w tym roku do nagród?) stanowią ciągle sprawę odświętną, nie wywierającą jak dotąd oczekiwanego wpływu na codzienne życie teatralne Kalisza.

Jak każdy kolejny dyrektor, tak i pełniąca od początku bieżącego sezonu tę funkcję Romana Próchnicka z pewnością łamie sobie głowę — co czynić, jakich sposobów zażyć, żeby pozyskać liczniejszą niż dotąd widownię. Z tego co się dowiedziałem, kontynuuje się, zapoczątkowane parę lat temu przekształcanie dotychczasowego objazdowego modelu, polegającego na „obsługiwaniu" wszystkich miejscowości, którym nie brak chęci, żeby teatr zaprosić i nawet zorganizować mu jaką taką widownię, ale w warunkach często uniemożliwiających pełnowartościową prezentację sztuki i nie zapewniających aktorom minimum warunków pracy. Obecne wyjazdy — na zasadzie stałych umów z kilkoma miastami, rozporządzającymi odpowiednią bazą, ograniczają się w praktyce do Sieradza, Jarocina i Konina.

Nowa dyrektorka, mając do dyspozycji uzdolniony wprawdzie, ale jeszcze mało doświadczony zespół, postanowiła najwyraźniej poświęcić swój pierwszy sezon na rozeznanie się zarówno w możliwościach odbiorczych społeczeństwa, jak i własnego zespołu, o czym świadczyłby dość chyba „sondażowy" repertuar.

Może więc nie całkiem miarodajne są efekty pierwszych premier, chociaż oglądając dwie z nich — zaryzykowałbym ostrożną opinię, że młodzi aktorzy znacznie pewniej czują się w rzeczy współczesnej, nieszablonowo inscenizowanej, jak w „Procesie" Kafki, w reżyserii R. Próchnickiej, niż w polskiej komediowej klasyce, jak świadczyłyby o tym kłopoty z gestem, i mówieniem wiersza w „Ślubach panieńskich". Poza tymi sztukami wystawiono już za nowej dyrekcji: Czechowa „Niedźwiedzia" i „Oświadczyny", Maliszewskiego „Nowe szaty króla", Murrella „Wspomnienie", a w przygotowaniu znajdują się: Okudżawy „Dopóki ziemia kręci się" i... Młynarskiego — jak podaje drukowany program „Cień" (a nie — Szwarca?!).

Propozycje o bardzo różnej poetyce i wymagające zróżnicowanego emploi aktorskiego. Chyba więc dopiero po zamknięciu sezonu kierownictwo teatru (jak i ewentualny sumienny obserwator) potrafi rozeznać się w inklinacjach zespołu oraz mniej czy więcej utajonych zapotrzebowaniach środowiska.

Ale już maj za pasem i kaliski teatr szykuje się znów do swej roli gospodarza (i uczestnika) teatralnych spotkań, w których tradycyjnie nie może braknąć choćby jednego z teatrów łódzkich, a w tym roku Teatru Nowego z „Uciechami staropolskimi" Dejmka. Wydaje, się, że udział kaliskiego, nie okrzepłego jeszcze zespołu, będzie — mówiąc po sportowemu — startem po naukę.

A może te właśnie spotkania spowodują wreszcie upragniony przełom w zainteresowaniu społeczeństwa Kalisza dniem powszednim swojej zasłużonej sceny? Przynajmniej hodują w sercu taką cichą nadzieję wszyscy, którzy teatr nad Prosną darzą sentymentem.

WANDA KARCZEWSKA

NAD INEDITAMI Z 1956 ROKU

Oto nasze cmentarze
nieznane groby w których spoczywają bohaterowie
z naszej krwi i kości
Siwi mężczyźni
zakwitający w cieniu dziewcząt
stare opuszczone kobiety szukające
sprawiedliwości w naszych oczach
młodzi zawiedzeni kochankowie władzy
burzący z równą pasją pomniki starych bogów
jak lepiący nowe fetysze mity zwątpienia
aby potem znów wszystko na nowo na nowo
Oto wędrowcy utrudzeni drogą
niosący cierpliwie swój tobół ludzkiego istnienia
tu spoczywają
w alejkach rękopisów
w kwaterach arkuszy
bez nadziei bez nadziei wytrwale

Nie wydane na światło dzienne upragnione dzieci
ledwo powołane do życia a już umarłe
Usta przysypane gliną z okrzykiem życia!
palce drapiące ziemię
tu spoczywają
przytłoczone marmurową płytą biurka
w trumiennych deskach szuflad
skazane na śmierć pod krzyżem milczenia

Oto mogiły pogrzebanych nadziei

Przechodniu zmów zdrowaś za ich spokój
i zmartwychwstanie
Amen
Amen

1966 r.

DON KICHOT

Sierpień 1956
pamięci S.D.

Niesprawiedliwie sądzeni wychodzą
z lochów na światło w koronach męczeńskich,
do stóp ich rąbek przychylany nieba
odkupią winy barbarzyńskich sędziów.

Tych, co z obczyzny, podobni szakalom
szczekali, wietrząc trupy przyszłej wojny,
wita się w progu dziś chlebem i solą.
I tym, co siali bratobójcze kule
z rachunku kary odkreśla się lata
i nawet zwykłych łotrzyków, wróciwszy
im twarz sprzed zbrodni, garnie się do łona.

A on nie wyparł się Polski imienia
i bogów cudzych nigdy nie miał przed nią,
i miecza nie wziął, jak duński królewicz,
kopniaki znosząc i odwłokę prawa.
Lecz on do dzisiaj nie może nazbierać
na węgieł domu kamieni i nie ma
okruchu ziemi stałej pod stopami.
Bo choć odeszli lub zaleźli głębiej
za szpary podłóg prześladowcy jego,
to mu tak jadem swym zatruli imię,
że gdzie nie stąpnął — tam kamienne serca.

Kto będzie badał nie więzionych „winy",
pieczęcie zrywał przyklejone z czoła
i jego „zbrodni" sądził krew i ciało?

On, gdy żałośni dziś mędrcy po szkodzie
wołali ongiś: konieczność i prawo,
z odwagą wołał: przemoc i bezprawie.
Na głód — głód mówił, a tym którzy bili
po twarzach słabszych, zależnych od siebie,
on nie oszczędzał imion im należnych.
On trwonicieli publicznego mienia
marnotrawcami mienił. I on muz kochanków,
którzy na służbę szli złotego cielca
jawnie nazywał: „Ślepi muz odstępcy!",
a gdy lud niemy widział, że król nagi,
on się nie lękał mówić: król jest nagi!

I przeto śmieszny Don Kichot do dzisiaj
z siwymi włosów kosmykami, chudy,
w zbroi złożonej z podartych nogawek
z koślawych butów — idzie we mgłę z lancą.
Bo to jest „zbrodnia" największa ze zbrodni
prawdę podawać, gdy prawda kamieniem
obrazy bywa. I gdy śpi sumienie.

CHLEB POWSZEDNI

Uciekaliśmy we fryzy i kolumny
uciekaliśmy w ogrody miczurinowskie
uciekaliśmy w legendy i mity
w piękno ptaka śnieżnego tającego na dłoni
w głos wilgi,
w ciszę nic nie wiedzących oczu dziecka.

Nie uciekliśmy od walących się domów,
od zbóż gnijących na polach,
od faryzeuszy i pobielanych grobów
zabójców niewinnych ludzi,
od kamiennej brzydoty kruczych ulic,
od męki zachrypłych głośników i natrętnych megafonów,
od rozpusty czternastoletnich.

Dziesięć lat piliśmy mączkę Nestla,
dziesięć lat będziemy trawić
zakalcowaty gnieciuch rzeczywistości,
niech się żołądek przyzwyczaja
do chleba naszego czarnego, powszedniego
pożywienia biednych
lecz dojrzałych i zdrowych.

1956 r.

BIAŁE ŻURAWIE

Nad cieniami
Jana Lechonia

Kiedy poetom zamykają usta,
milknie ptak, chleb głodnego dławi
i ślepe krety nie nazwanych zbrodni
niszczą korzenie wszelkiego istnienia.

Kiedy poetom otwierają usta,
słowo — jak fletnia wywodzi spod ziemi
krety z nadmiaru blasku ogłupiałe,
głos wczorajszego boga jest głosem szaleńca,
fałszywy kapłan zmienia szybko szatę,
a liść laurowy na niejednej głowie
noc świętojańska zmienia w uszy Spodka.

Różami śmiechu wybucha milczenie
kiedy poetom otwierają usta,
po niebie płynie szelest, krzyk żurawi,
na obcych lądach rozproszone ptaki
klangor podnoszą na powrót do domu,
kiedy poetom otwierają usta.

God save our souls!
Uratuj wtedy dusze tych żurawi,
które zbielałym od rozpaczy skrzydłem,
nie mogąc unieść ciężaru nadziei,
zerwą się, aby
runąć nagle w ciemność.

Kiedy poetom otwierają usta,
Boże,
ratuj nasze dusze.

II

Między dwunastym piętrem
a ulicznym brukiem,
zanim powstałą z ciemnej gleby zwątpień
drogę rozpaczy śmierć sprostować zdoła,
ile być może jeszcze aktów ludzkiej woli
które przekreśla prawo grawitacji?

Między dwunastym piętrem
a ulicznym brukiem
ilu zawisło martwych, chociaż jeszcze
żyjących przecież,
pozaczepianych o wiotkie gałęzie,
udręki wspólne, przykazanie wiary,
albo o dłonie jak listki topoli.

O, przyjaciele, można mówić głośno,
już proroczkowie rajskiej szczęśliwości,
którym odjęto dziś władzę nad nami,
narzędzia tortur złożywszy w muzeum,
pojęli nawet,
że można nie żyć, choć spełnia się jeszcze
śmieszne czynności,
ucieranie nosa,
wciąganie spodni,
że emigrantem można nie być wcale,
czując wygnańcem się samego siebie,
sens utraciwszy
funkcjonowania białych zwojów mózgu
między dwunastym piętrem
a ulicznym brukiem.

Jan Lechoń zginął samobójczą śmiercią, skacząc z dwunastego piętra nowojorskiego domu w przededniu powrotu do kraju.

BLASK PRZYWRÓCONY

Pisarzowi, Posłowi Adamowi Polewce
po jego wystąpieniu w Sejmie — 1956 r.

Słuchajcie, jak w tej sali brzmią
słowa zapomniane
sumienie, wina i kara,
słowa, którym przywraca się blask
jak barwy obrazom starych mistrzów,
ścierając z nich brud i fałsz.

Co jest ważne
czy tylko prawa ustanowienie,
które zagrodzi przyszłym zbrodniom drogę,
a nie ważna kara dla winowajców,
czy pierwsza jest ona właśnie?

O, młodzi, okrutni kaprale ideologii
którzyście rozkazem padnij powstań biegiem marsz
ćwiczyli ludzką tęsknotę do niezłomnych sędziów
i ich czystych rąk,
słuchajcie —
mówi stary komunista:

pierwszy jest ów gniew moralny,
co kary żąda dla winowajcy.
Gdzie przeciw zbrodni nie powstaje gniew,
matka wszelkiego prawa i cnót obywatelskich,
tam paragraf jest własnością cyników
a sprawiedliwość — obolem
kładzionym w usta umarłych.

Patrzcie. Ludzie, których jeszcze wczoraj
imię komunista napawało lękiem
stają pod głośnikami na placach
i obcy ze wzruszeniem w oczy obcemu zagląda,
i nieznajomy przyjaźnie mówi do nieznajomego:
ten oto jest posłem naszej obolałej myśli
i naszej wiecznie zielonej nadziei.

Słuchajcie,
człowiek nie umiera.
Z drzew, którym wczoraj odrąbano gałęzie
i odarto korę
młody liść wystrzela,
w stwardniałych źrenicach
blask przywróconej ufności powstaje.

Człowiek nie umiera,
póki praw czystości szuka
wiarą
do kropli ostatniej.

MILCZENIE

Pytasz czemu ja milczę. Cóż ty o milczeniu
wiesz moim? Czym jest ono, wiarą czy zwątpieniem,
czy sprawdzaniem historii, przerażeniem? Wszystkim.

Pociąg z dworca odjechał i w twarz wyciął gwizdkiem,
w bagażowni zostały ciężary z przedwczoraj.
Trzeba wziąć je na barki, rozprawić się z sobą,
wracać w podróż przebytą, sprawdzać semafory,
dłoń do ziemi przykładać, do tętnic ukrytych
i nocy słuchać, nocy, prawdomównej pory.

W suchym blasku księżyca rdzą ciemnieją tory,
krew to czy łza podróżnych, co tędy jechali?
Gdzieś za łąką pies wyje. Tam sąsiad skulony
milczy o tym, że przyszli w mroku i jak cienie
z domu wzięli sąsiada, a on nawet żony
za co? bał się zapytać. Mówić zakazali.

Zły to czas, gdy niewinny wybiera milczenie!

Dalej, głębiej w noc zanurz się, jak Dante w piekło,
idź po śladach twych kroków, zadeptanych marzeń.
W domy, sady patrz. Nieraz już jechałeś tędy,
nic cię w oczy prócz iskry nigdy nie zapiekło?
Teraz okna i furtki ludzkie mają twarze,
a w nich cienie udręki, niepokoju plamy.
Kiedyś zieleń świeciła ci, pachniały dęby...

Żwir pod stopą gdzieś zgrzytnął, trzaska wieko trumny,
strażnik szczęka kluczami, skrzypią więzień bramy
i wychodzą z ciemności, jak z wody topielcy,
żywi, niosąc umarłych ze sobą na rękach,
groźni, sądów torturą nie złamani, wielcy,
otaczają cię ciasno, pod gardło pod odzą
i z ust, które im wczoraj gipsowano kłamstwem
winy nie popełnionej, wybiega westchnienie.

Nie uciekaj, nie zdołasz. Ich głos cię wyszuka,
nie ukryjesz się nigdzie, ich wzrok cios ci zada,
do drzwi twoich wołaniem i do snu zastuka:
„Gdzieście byli, wybrańcy, narodu sumienie,
gdy nas żywych chowali? Zdrada, zdrada, zdrada!"

Pokazywać im pęta, które z rąk nam zdjęto
także dzisiaj? Czy za bicz pochwycić
prawdy teraz zbyt późnej, by wychłostać w mocy
była winnych? Rachunek zamknąć pocieszeniem:
„Już po burzy, po strachu, po zbrodniach i nocy —"?

Pytasz czemu ja milczę?
Cóż innego zostaje, jeśli nie milczenie?

Sierpień 1956 r.

Rys. Grzegorz Stańczyk, 1979

DOKUMENTY

CZWARTY TOM DZIEJÓW PRASY POLSKIEJ

Zakończono wreszcie edycję czterotomowego dzieła **„Prasa Polska"**, będącego historią czasopiśmiennictwa od połowy XVII wieku do roku 1945. Już po opublikowaniu trzeciego tomu okazało się, że odkryto nowe druki i dokumenty świadczące o tym, że dzieje polskiej prasy zaczynają się prawie 150 lat wcześniej. Cały pierwszy tom historii czasopiśmiennictwa należałoby więc napisać od nowa.

To jednak najmniejsze zmartwienie. Wiadomo bowiem, że tego rodzaju naukowe publikacje notują aktualny stan wiedzy i trudno mieć pretensje do Polskiej Akademii Nauk, która publikację firmuje, że nie odkryto wcześniej pierwszych polskich gazet. Można mieć natomiast pretensję do prof. **Jerzego Łojka** pod którego redakcją owe dzieło zostało opracowane — że zbyt wiele w poszczególnych tomach jest pomyłek, przeinaczeń i błędów.

Tylko tom trzeci napisany w całości przez **Andrzeja Paczkowskiego** miał owych błędów stosunkowo najmniej. Inne — pomyślane jako prace zbiorowe roją się od pomyłek. Tak jest również w wypadku ostatniego tomu, obejmującego lata 1939—1945.

Tadeusz Szewera — ongiś redaktor konspiracyjnego pisma „Odwet" już przy pobieżnej lekturze ostatniego tomu dostrzegł parę zasadniczych błędów i przeoczeń tylko w odniesieniu do pisma, które redagował. Ale przeoczeń jest więcej.

Zupełnie nie wiadomo czemu autorzy przeoczyli istnienie w Łodzi w czasie okupacji pisma **„Front Walki za Naszą i Waszą Wolność"**, redagowanego przez **Moczara, Koczaskiego i Logę-Sowińskiego.** Nakład „Frontu" nie był mały, jak na warunki konspiracyjne — sięgał kilkuset egzemplarzy i było to jedno z pierwszych podziemnych pism komunistycznych w Łodzi.

Irytujące jest następne przeoczenie. Autorzy tomu odnotowują m.in. pisma takie jak **„Wolna Łomża"**, ale nie ma nawet wzmianki na temat **„Wolnej Łodzi"** — pierwszej gazety jaka się w naszym mieście ukazała już w pięć dni po wyzwoleniu. Redagowali **„Wolną Łódź" Henryk Rudnicki i Aleksander Litwin.** Ponadto w roku 1942 było w Łodzi pismo o tej samej nazwie wydawane przez Armię Krajową. I tej **„Wolnej Łodzi"** w dziejach prasy nie odnotowano.

Nie wiadomo również dlaczego autorzy historii prasy uważają **„Głos Łodzi"** za główne pismo podziemne PPR w Łodzi, skoro w tym samym czasie (a nawet i nieco wcześniej) ukazywała się tu nielegalna **„Trybuna Ludu"** (organ Okręgowego Komitetu PPR) o nakładzie daleko większym, bo sięgającym 5 tysięcy egzemplarzy.

Powie ktoś, że to drobiazgi. Owszem, ale w wypadku artykułu okolicznościowego. Jeśli jednak Polska Akademia Nauk oraz Instytut Badań Literackich opracowują wielkie dzieło naukowe — takie drobiazgi (przeoczenia i błędy) stają się faktem naukowym usankcjonowanym rangą naukowego dzieła.

Jeśli chodzi o konspiracyjne pisma Armii Krajowej wydawane w czasie okupacji w Łodzi to selektywność autorów publikacji jest również zadziwiająca. Wymienia się dodatek literacki „Biuletynu Kujawskiego AK", którego wydano 5 numerów — pomijając takie ukazujące się w Łodzi pisma akowskie jak **„Biuletyn Zachodni", „Dziennik Żołnierza Armii Krajowej", „Trybuna Łodzi", „Wolność".** Nawiasem warto wspomnieć, że odnotowuje się „Wolność" z Kraśnika czy Legnicy.

Jak więc widać z tego pobieżnego przeglądu czterotomowe dzieje prasy polskiej nie zawsze mogą stanowić wiarygodne źródło wiedzy o polskim czasopiśmiennictwie, mimo, że firmowały tę pracę zarówno Instytut Badań Literackich jak i Pracownia Historii Czasopiśmiennictwa Polskiej Akademii Nauk.

JERZY WILMAŃSKI

„Prasa polska 1939—1945" tom IV. PWN, cena 80 zł.

TEATR

W Teatrze Nowym w Łodzi gości Wrocławski Teatr Pantomimy ze spektaklem „Hamlet — ironia i żołoba". Na zdjęciu: Marek Oleksy — Hamlet i Lucyna Stankiewicz — Ofelia.
Foto: T. Drankowski

PROZA

CZŁOWIEK POSRÓD UWIKŁAŃ

Władysław Terlecki jest czołowym przedstawicielem pewnego typu powieści historycznej (zwanej przez niektórych neohistoryczną), u źródeł której tkwi zawsze jakieś autentyczne wydarzenie, a w każdym razie autentyczne postaci (od początku zresztą konsekwetnie kryptonimowane). Terlecki nie odtwarza jednak konkretnych spraw ani konkretnych losów — zależy mu nie tyle na historycznej prawdzie, co na zrekonstruowaniu niepowtarzalnej minionej atmosfery, na oddaniu klimatu, w jakim niegdysiejsi bohaterowie (i antybohaterowie) działali, walczyli, przegrywali. Tak, p r z e g r y w a l i — Terleckiego bowiem interesują głównie dzieje klęski: narodowej, politycznej, moralnej, klęski zdeterminowanej określonymi warunkami historycznymi, ale nie tylko. Jego bohaterowie uwikłani są na ogół w proces dziejowy, chcą nań wpływać, wyznaczać kierunek, sądzą, że uda się im utożsamić historię z moralnością. Owo głębokie przekonanie tkwi u podstaw c z y n u kolejnych postaci z utworów Terleckiego, jednocześnie zaś to właśnie ono gotuje im klęskę. Klęskę rozmaicie mierzoną: śmiercią na polu walki, więzieniem, załamaniem i odstępstwem. Jak dotychczas bowiem prawdziwą moralnością historii bywa racja zwycięzców.

Za kanwę najnowszej powieści Władysława Terleckiego posłużyła tak zwana sprawa Stanisława Brzozowskiego, wybitnego polskiego myśliciela i pisarza z przełomu wieków, oskarżonego o współpracę z carską ochroną. Sprawa do dziś wywołuje emocje i praktycznie bardzo trudno ją jednoznacznie rozstrzygnąć. Nie to też stanowi cel powieści „Zwierzęta zostały opłacone" (notabene sam tytuł zdaje się już sugerować stanowisko autora, podobnie jak tytuł eseju Czesława Miłosza poświęconego Brzozowskiemu — „Człowiek wśród skorpionów"). Terlecki nie opowiada się wprost. Spór racji został tu jakby wyciszony, nawet w porównaniu z innymi jego utworami. Rzeczywiście interesuje go przede wszystkim klimat towarzyszący owej przykrej sprawie. I nawet nie Brzozowski staje się pierwszoplanową postacią powieści. Jest nim młody człowiek imieniem Paweł (pseudonim Biały), któremu organizacja powierza wykonanie wyroku na domniemanym zdrajcy, przypuszczalnym agencie ochrony. Dzieje i udręki wspomnianego młodzieńca przykuwają najpierw uwagę czytelnika. To porzez niego — jak przez medium — czytelnik poznaje różne aspekty sprawy. Jakkolwiek (po raz pierwszy!) wprowadza pisarz postać „kogoś", kto stara się „stworzyć prawdopodobny opis tego dramatu, kto nie ma odwagi posłużenia się historycznymi nazwiskami, nie z lęku przed prawdą, która mogłaby go porazić, ale z głębszej jeszcze, biorącej się z dnia współczesnego potrzeby...". Ten ktoś — współczesny tropiciel dawnych śladów — pojawiał się będzie regularnie, podkreślając niemalże expressis verbis całą umowność intelektualnej konstrukcji, do poznania której zaproszony został czytelnik. A jest to konstrukcja niezwykle wiarygodna, oparta na doskonałej znajomości faktów, realiów, całej zresztą epoki. Nawet występujące w epizodach zakamuflowane postacie wzorowane są na historycznych odpowiednikach. Ich rozszyfrowanie niekoniecznie musi stać się udziałem krytyka, tak są przecież skonstruowane, iż nawet jeżeli ktoś nie będzie w stanie domyślić się, kim był pierwowzór i tak niewiele straci, po prostu w powieści Terleckiego owi ludzie stają się w pierwszym rzędzie nosicielami idei, symbolami określonych postaw wobec sprawy, wobec otaczającej rzeczywistości.

Władysław Terlecki chce doprowadzić czytelnika możliwie najbliżej sytuacji, jaka wówczas miała miejsce. Chce przybliżyć fragment polskiego losu, pokazać jego specyfikę, tragiczne uwikłania. Zdrada czy prowokacja spreparowana przez moskiewską policję? Słabość człowieka, czy przemyślne i perfidne splugawienie idei, filozoficznego porządku, którego reprezentantem i głosicielem był Stanisław Brzozowski? Czy sąd obywatelski jest w stanie rozstrzygnąć o winie tego człowieka bądź go uniewinnić? A osąd potomnych? To są pytania towarzyszące lekturze. W nieco innej formie wątpliwości takie opadają Białego. I nie potrafi on ich rozwikłać. Cofa podniesioną dłoń z rewolwerem. W ten sposób jednak zdaje się pojawiać sugestia rozstrzygnięcia, jaką ma do zaproponowania „człowiek po wielu latach szukający śladów Mocarza" (Mocarz to kryptonim Brzozowskiego). Lecz może to być co najwyżej sugestia. Sprawa jest przecież bardzo delikatnej i drażliwej natury. Narrator nie zapomina o tym ani przez moment. Aby nie powstał najmniejszy nawet cień podejrzenia o stronniczość, nie zawaha się przemówić wprost: „Człowiek, który szuka po wielu latach śladów obecności Mocarza, myśli z rozpaczą, że oto nie może, choć upłynęło tyle czasu od tamtych wydarzeń, wyrokować o winie i niewinności". To jednak mówi samo za siebie! W żadnej z dotychczasowych powieści Władysław Terlecki nie był tak ostrożny. I chyba w żadnej nie był tak precyzyjny, czuwający nad artystycznym organizowaniem materiału. Wszystko tu bardzo funkcjonalne, nawet przypadkowe w gruncie rzeczy sceny miłosne czy ćwiczenia angielskiej szkoły teatralnej.

Byłoby niesprawiedliwością wobec autora, gdyby powieść „Zwierzęta zostały opłacone" ograniczyć wyłącznie do postaci Stanisława Brzozowskiego i dylematu: winny — niewinny. Jej problematyka jest szersza i wykracza poza historyczną sprawdzalność. Oto na przykład niepokojący ciągle problem poznania, gorszy nawet niż bezpośrednie zagrożenie fizyczne (przynajmniej dla jednostek o specyficznym poczuciu rzeczywistości): „Jest to lęk przed istnieniem rzeczywistości, której człowiek nie ogarnął nigdy rozumem. Wydaje mu się od pewnego czasu, że wiek miniony zaszczepił szkodliwe przekonanie o całkowitej poznawalności natury. Tymczasem nauka zbliżać powinna ludzi do granicy poznania. Jest pewna nadzieja w przeświadczeniu, że granica owa nie została określona raz na zawsze i że może być stale poszerzana". Oto pytania o relatywizm historyczny i relatywizm moralny. Pytania o filozoficzne i społeczne utopie. Pytania o sens kultury. Niektóre — podobnie jak sprawa Brzozowskiego — pozostają bez wyraźnej odpowiedzi. Bo są to na ogół kwestie indywidualnego i zbiorowego sumienia, problemy odpowiedzialności raczej niż intelektu. Ich zgłębianie wymaga ponadto własnego wysiłku badawczego, a nie tylko czytelniczej refleksji, niekoniecznie przecież pogłębianej dodatkowymi lekturami.

Kim jest, kim może być człowiek u w i k ł a n y w historię? Przeciwstawiający się losowi, lecz z góry niejako skazany na niepowodzenie? Co z jego uwikłań wynika dla współczesnych, co dla potomnych? W pytaniach powyższych zawarta jest swoista zagadka, którą pisarstwo Władysława Terleckiego właściwie tylko nam uprzytamnia, przybliża, w żadnym wypadku jednak nie rozwiązuje, bo ani historia, ani uwikłany w nią człowiek nie zasługuje na jednoznaczną li tylko interpretację.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

W. Terlecki, „Zwierzęta zostały opłacone", „Czytelnik", Warszawa 1980, nakład 20 320 egz., ss 222, cena zł 30.—

MUZYKA

BLASKI I CIENIE

Ostatni, przed wyjazdem koncert orkiesty FŁ z programem, ktory będzie prezentowany pod dyrekcją **Zdzisława Szostaka** podczas tournée po Francji, przyniósł dzieła Szymanowskiego, Chopina i Czajkowskiego; jako soliści wystąpili **Barbara Górzyńska** i **Piotr Paleczny.**

I Koncert skrzypcowy op. 35 Karola Szymanowskiego powstał w głównych zarysach podczas kilku letnich tygodni 1916 r., które kompozytor spędził w Zarudziu, gdzie bawił w tym czasie również Paweł Kochański, należący do najwybitniejszych skrzypków tej epoki. Szymanowski znał skrzypce z własnej praktyki, bowiem ćwiczył się w grze skrzypcowej podczas pobytu we Lwowie w 1907 r. Kochański przede wszystkim demonstrował kompozytorowi nowe zdobycze swojej techniki skrzypcowej oraz opracowywał głos skrzypcowy koncertu pod względem opalcowania i smyczkowania. Czasem też wprowadzał zmiany w niewygodnych miejscach lub proponował rozwiązania bardziej efektowne. Wyłącznym dziełem Kochańskiego jest w I Koncercie solowa kadencja skrzypiec, pojawiająca się pod koniec utworu. Dwa początkowe fragmenty koncertu zajmujące miejsce klasycznego Allegro i Andante, inspirowane były wierszem Tadeusza Micińskiego „Noc majowa", natomiast Scherzo i Finał są już dalszym rozwinięciem Koncertu zupełnie samodzielnym.

Barbara Górzyńska, niedawna zdobywczyni I miejsca na arcytrudnym konkursie w Leeds, jeszcze raz dała przykład swoich najwyższych umiejętności. Wspaniała technika prowadzenia rozległej kantyleny i duży śpiewny ton pozwoliły artystce przez cały czas koncertu utrzymać partię solową w odpowiednim napięciu, którego wymaga od solisty ta ekstatyczna muzyka. Może nie było to wykonanie tak porywające, jak swego czasu podczas konkursu im. Wieniawskiego w Poznaniu, niemniej pozwalające w pełni docenić dojrzały styl i indywidualność skrzypaczki. Znakomicie prowadzona orkiestra z uwypuklonymi partiami solowymi instrumentów dętych („wydobyte" solo trąbek pod koniec pierwszego fragmentu) w pełni przyczyniła się do przedstawienia walorów tej, w swoim czasie, nowatorskiej, odkrywczej muzyki.

W tym miejscu przychodzi mi „wyrażać się" o grze **Piotra Palecznego,** o której lepiej wolałbym nie pisać, aby nie psuć dobrego nastroju. Pomijam już okropny stan fortepianu, stanowiącego swoistą antyreklamę dla firmy „Steinway". Wydaje się, że pianista osiadłwszy na laurach Konkursu Chopinowskiego nie rozwija dalej swego warsztatu muzycznego. W porównaniu ze znakomitymi interpretacjami Koncertu f-moll Chopina, które przecież ciągle słyszymy w programie radiowym, utwór został po prostu odegrany. Szczególnie przykre wrażenie sprawiał brak zróżnicowania w prowadzeniu głosów (chaos w przetworzeniu I części), zacieranie pasaży i mała skala kolorystyczno-dynamiczna. Słynne Larghetto (dedykowane początkowo Konstancji Gładkowskiej, potem Delfinie Potockiej) trudno sobie wyobrazić zagrane jeszcze nudniej przez pianistę o takiej rematy symfoniczne Liszta, symfonie Schumanna i I Symfonię Brahmsa, którą Czajkowski obrzucał najgorszymi epitetami, kompozytor stworzył dzieło silnie związane z europejską tradycją muzyki romantycznej, nie pozbawione jednak osobistego tonu. Niedostateczną zwartość konstrukcji formalnej, zrekompensował bogactwem łatwo wpadającej w ucho melodyki, niejednokrotnie o dużym napięciu emocjonalnym, ujawniając jednocześnie tendencje do przekraczania zastanego porządku muzycznego. Trzecia część — Scherzo (pizzicato ostinato) ze swoją montazową techniką łączenia różnorodnych nastrojów, stwarza procedens wykorzystywany potem przez Gustawa Mahlera. „Trzecia część to kolejne następstwo kapryśnych arabesek, gdy umysł jest pusty i wyobraźnia zaczyna kreślić nieuchwytne zarysy — pisał kompozytor w liście do pani von Meck — pijany wieśniak, krótka piosenka uliczna, pochód wojskowy. Obrazy są bezładne, bez związku z rzeczywistością, dziwaczne i fantastyczne".

Zdzisław Szostak wraz z orkiestrą FŁ przedstawili to dzieło w sposób porywający i efektowny. Znakomicie przeprowadzona I część z intensywnymi partiami smyczków i świetną blachą, łagodne, zawoalowane andante ze śpiewnymi solami drewna, fascynujące brzmieniowo pizzicato scherza z wyraziście zagranym trio instrumentów dętych, wreszcie finał, który (chociaż kompozytor uważał go za nieudany) stał się pełną ekspresji kulminacją utworu, dzięki świetnemu wyważeniu proporcji planów brzmieniowych blachy, talerzy i smyczków. Cały zespół stanął na najwyższym poziomie.

Miejmy nadzieję, że do powrotu FŁ z Francji, gmach Filharmonii jeszcze nie rozleci się ze starości, a decyzja o budowie tak niezbędnej placówki kulturalnej zapadnie wreszcie na odpowiednim szczeblu. Inaczej, nie ma dokąd wracać...

JACEK KRAKOWSKI

Włodzimierz Krzemiński
RFN po latach

3. KOLONIA

Ledwie przestaną dudnić pod kołami żelazne przęsła Mostu Hohenzollernów, już pociąg staje na głównym kolońskim dworcu. Ledwie przeciskając się przez kłębiący się tu od świtu do świtu tłum zaczniemy się wynurzać z podziemnego przejścia, już jak potworny olbrzym nie z tej planety wyrasta nad głową czarny, groźny ogrom Katedry.

Wiadomo — ja też wiem — z podręczników historii sztuki, przewodników, folderów, że to cud świata, arcydzieło architektury, jeden z najwspanialszych pomników gotyku. Ale pierwsze wrażenie, jakie odczułem stając nagle tuż pod katedrą, o wczesnym, ciemnym jeszcze poranku, było bardziej grozą i lękiem, niż zachwytem. To jest **za duże**, to zajmuje trzy czwarte nieba. Bardzo wysoko, gdzie już powinny być gwiazdy, wciąż jeszcze pną się setki oświetlonych kunsztownie wież, wiązań, łuków, wieżyczek, a wszystko czarne, wydobyte światłem z jeszcze głębszej czerni tła, przytłaczające.

Po wejściu do środka człowiek wcale się nie czuje jak we wnętrzu czegokolwiek. To jest za ogromne. Każdą kolumnę widzi się osobno, trzeba by chyba z kilometr dystansu, żeby dostrzec i docenić kompozycję tych kolumn, ich nadrzędny wieńczący dzieło sens. Na potężnych grobowcach leżą kamienie, brodate olbrzymy. Tylko do jednej z nisz zagradza drogę napis: „Nur für bettenden". Tylko dla modlących się. Tylko tam płonie znicz Sakramentem i stoi parę kwiatów. Cała ogromna reszta świątyni tchnie — tak to przynajmniej odczułem — kamienną, zimną pustką, groźną i wrogą maleńkiemu człowiekowi.

Wychodzi się z tego na plac, po którym wieczorem, gdy tłumy zwiedzających trochę się przerzedzą będą w kółko dookoła katedry szalały motocykle. Kilkudziesięciu zakutych w czarne skóry kostiumów, hełmach i w maskach, kładąc się nieomal na ostrych wirażach, z piekielnym rykiem motorów odprawia swą dziwaczną ceremonię — bo tak to chyba trzeba nazwać. Jakiż inny sens ma takie kręcenie się w zawrotnym tempie, w ogłuszającym hałasie, wśród tysięcy ludzi, którzy stoją cierpliwie i czekają długo na możliwość przejścia przez ten rozszalały strumień. W dzień nikt tutaj oprócz pieszych nie wchodzi, w dzień całe otoczenie katedry i najbliższe ulice to jeden wielki lunapark.

Nie ma na tych ulicach ruchu kołowego. Same domy towarowe magazyny, sklepy, dziesiątki barów. Znów — jak we Frankfurcie — lawina towarów, wylewająca się na ulice. Znów kina porno i sklepy porno. Eros-Center, Eros-Shop i Pip-Show. Wiecie co to jest Pip-Show? Taki lokal pełen światła, muzyki, hałasu i wyuzdanych fotosów, a w nim szereg jednoosobowych kabin. Za wrzuceniem odpowiedniej monety do automatu drzwi kabiny wpuszczają klienta do środka, a tam już zależnie od ceny: albo ogląda się przez okienko jakiś wymyślny striptis, albo scenę absolutnie nie dla młodzieży albo ma się jeszcze inne, specjalne jakieś przyjemności.

Na środku pasażu, mimo padającego deszczu, popisuje się młody posągowo zbudowany, półnagi Murzyn. Ma do nóg przytwierdzone grzechotki, do przegubów rąk — kastaniety, przy ustach — komplet piszczałek. Przed nim rząd bębnów, kotłów, dzwonków i cymbałów. Murzyn tańczy, śpiewa, gra na wszystkim jednocześnie. Obok niego Wietnamczyk rozłożył na mokrym asfalcie pięknie wykonane tempery — po dwie marki sztuka! Mniej niż darmo. Za dwie marki, czyli trochę więcej niż dolara, przejedzie się raz tramwajem, albo wypije filiżankę wodnistej kawy.

Jest pośrodku tego wszystkiego, tuż obok katedry, mała oaza ciszy i mroku. To odkopany fragment rzymskich murów obronnych i ruiny praetorium, czyli budynku, w którym sprawowano sądy. Kolonię założyli Rzymianie w pierwszym wieku naszej ery, stąd pochodziła rozpustna żona cesarza Klaudiusza i matka Nerona. Stracono ją zresztą z rozkazu własnego syna, tegoż właśnie Nerona, prześladowcy chrześcijan. „Na dwóch kilometrach kwadratowych powierzchni tysiąc lat historii" — piszą Niemcy w przewodniku. Jedno z pierwszych niemieckich biskupstw (IV wiek), uniwersytet z XIV wieku i... rówieśny uniwersytetowi dom tańca Gützenich. Aż do XVII wieku Kolonia była największym miastem niemieckim, w którym koronowali się cesarze rzymscy narodu niemieckiego. Dziś miasto liczy około miliona mieszkańców i jest siedzibą wielu zakładów przemysłowych między innymi branży kosmetycznej. To stąd przecież pochodzi woda kolońska, l'ea de Cologne, odekałon..

Na murku przy fontannie siedzi zarośnięty aż po oczy, obdarty włóczęga, obwieszony kolorowymi blaszkami. Śpiewa na całe gardło i popija polską wyborową wprost z butli. Nie to nie nasz rodak to autentyczny tubylec. Kiedy gromada chłopaków zaczyna się z niego naigrawać, pijaczyna zrywa się i machając kijem wrzeszczy: „Schwule, Schwule"! Co znaczy, za przeproszeniem: pedały!

A na dworcu głównym podchodzi do automatu telefonicznego elegancka dziewczyna i nagle pada bez przytomności. Mało kto się tym interesuje, a ci co stają nad dziewczyną to Włosi, Meksykanie i Turcy. Ale ktoś gdzieś widocznie dzwonił, bo po paru minutach podjeżdża karetka Służby Maltańskiej („Maltheser Dienst") i dwaj na niebiesko ubrani panowie biorą dziewczynę pod ręce.

Idzie blada, nieobecna z martwymi oczami. Mały, pomarszczony Meksykanin — bogaty właściciel nocnego baru na dworcu, zatrudniający Niemki i Niemców chociaż sam jest wciąż na statusie „Gastarbeitera" — puka się palcem w czoło i mówi do mnie: „Drogen. Verdammte Drogen"... Przeklęte narkotyki.

I to był ostatni obrazek, jaki uniosłem z pięknego miasta nad Renem. Z miasta, gdzie kanapkę z serem nazywa się „Halver Hahn" (półkogucię"), na kelnera mówi się „Köbes" (chlew...), a do którego nadreńczycy wzdychają nostalgicznie: „Zo Foss na Kölle jon..." Czyli: do Kolonii — choćby piechotą...

• • •

4. AKWIZGRAN

Ciekawe, dlaczego w naszym języku zachowała się nazwa „Akwizgran", którą nosiło to miasto przed wieloma setkami lat. Byłem tu parę razy w latach 1942—44 ale zawsze mówiło się „jedziemy do Aachen", dopiero dużo później dowiedziałem się, że pokój akwizgrański był zawierany właśnie tu, że grób Karola Wielkiego w Akwizgranie — to właśnie grób w Aachen, pomnik Karola, i uniwersytet Karola.

Wtedy jechało nas zawsze dwóch, trzech z nieodłącznym konwojentem pod bronią. Siedzieliśmy w obozie w Monschau, o dwadzieścia parę kilometrów stąd, i czasami wypadało coś przywieźć: jakieś worki, paczki, skrzynie. Granica z Belgią biegnie tu krętą linią po górach, tory kolejowe nie wiedzieć kiedy przekraczały tę granicę, po kilku kilometrach wracały na teren Rzeszy. Może dlatego dziś tej linii już nie ma, do Monschau jeździ się autobusem.

Wysiadało się wtedy nie na dworcu głównym, tylko na stacji Rote Erde. Była to mała stacja na przedmieściu Aachen, gdzie stały trzy baraki przepełnione jeńcami tak, że gdy znalazłem się tam szczególnym trafem na dwa tygodnie w samo Boże Narodzenie 1942 roku, to prawie cały czas spałem na długim, rozchybotanym stole pośrodku izby. Trzypiętrowe prycze i podłoga były już szczelnie zajęte. W dzień nie miałem w ogóle „własnego" miejsca.

Po przeciwnej stronie miasta rozsiadły się szeroko czynne do dziś wielkie zakłady „Veltrup - Werke", gdzie podczas wojny produkowano broń. Nie wiem, co tam się robi dzisiaj. Na zakłady często padały alianckie bomby. Podczas nalotów nasi koledzy — tacy sami jak my jeńcy, podchorążowie polscy — uciekali w pole, do wykopanych tam rowów. Nalot był więc mile witany, jako okazja do dłuższej przerwy w pracy, a niekiedy i do pośpiesznego flirtu z Ukrainką. Greczynką lub Serbką. Wiele dziewcząt z okupowanych krajów zatrudniał pan Veltrup, a wszystkie uciekały do tych samych rowów. Potem miasto zostało oblężone, jeńcy ewakuowani, a jeden z naszych schował się w piecu razem z Ukrainką i przesiedzieli tam całe trzy tygodnie walk o miasto. Potem się pobrali.

Teraz wysiadam na Hauptbahnhofie i znów — co było do przewidzenia — nie poznaję niczego, jak we Frankfurcie. Owszem, poznałem Karola na koniu. Czarny potężny jeździec siedzi nadal wyprostowany i nikt nie pamięta już wierszyka który ukazał się na cokole któregoś dnia, gdy Rzesza już trzeszczała w wiązaniach: Komm herab, du Schwarzer Reiter, der Gefreiter kann nicht weiter...

(„Zejdź, czarny rycerzu, frajter dłużej już nie wytrzyma...")

Wierszyk powtarzali wszyscy, nawet wartownicy — nam, jeńcom.

Aachen zaś do dziś utrzymało sławę miasta ludzi dowcipnych, z polotem, lekkomyślnych. To właśnie tu, w grodzie zwanym z francuska Aix la Chapelle, znajduje się kasyno gry w ruletę i w baka, z całej Republiki Federalnej zjeżdżają starsi panowie z hajduczkami na mocne wrażenia, spłukują je w starych, ale oczywiście super unowocześnionych termach, odpoczywają w sanatoriach dokoła miasta.

Bardzo przyjemnie jest krążyć po ulicach Aachen. Nie wiszą nad głową góry betonu, nie miotają się w ciągłej gonitwie rozpędzone tłumy. Wielopiętrowych wieżowców nie widać wcale, przeważa znajoma nam, łodzianom, secesja, przeważają zwyczajne domy, sklepy, podwórza. Miasto upodobało sobie śmieszne, groteskowe pomniki. Bank Miejski postawił własnym kosztem ku uciesze publiczności grupę niewielkich figur z brązu, przy czym ich nogi, ręce i głowy zamocowane są na specjalnych łożyskach i można je dowolnie kombinować. Coraz to ktoś podchodzi i jednemu z brodatych karłów zgina nogę, drugiemu podnosi w górę rękę z kielichem, trzeciemu każe się wypiąć na wszystko — po czym na tle ulepszonego własnoręcznie pomnika robi sobie zdjęcie ze swoją dziewczyną. Duża zabawa. Ten sam pomnik może służyć jako tło dziesiątkom zdjęć i na każdym z nich będzie inny. A jeszcze można uruchomić fontannę i puścić ją na głowę jednemu z bązowych facetów, albo wszystkim, albo sobie samemu.

W innym miejscu pośrodku chodnika wpada się nagle na grupę groteskowych pań pod parasolami, w jeszcze innym — jakiś brodaty staruch podwinął nogawki i moczy nogi w sadzawce. Wolę takie ozdoby niż wypiętych sztywno herosów, których zasługi mało kto już pamięta, a którzy przez setki lat wyciągają dumnie prawice, podnoszą energiczne podbródki i są tak nieznośnie pyszni.

Opodal wspaniałego gotyckiego ratusza już od XVII wieku czynna jest knajpa „Postwagen" gdzie przy dobrym piwie można posłuchać historii miasta „wider tierischen Ernst" czyli „pozbawionej zwierzęcej powagi". W jezyku potocznym wiele miesza się słów francuskich i flamandzkich, wychodzi z tego dialekt trudny do zrozumienia, z którym osłuchałem się trochę podczas dwuletniego pobytu w Monschau. Ale teraz, po czterdziestu latach znów siedzę jak na tureckim kazaniu i w ciemno sadząc z wybuchów śmiechu na sali muszę wierzyć, że historia jest bardzo dowcipna.

Leje deszcz, wchodzę do domu towarowego. Po godzinie krążenia wśród niezliczonych stoisk uginających się pod wszelakim dobrem jestem tak śmiertelnie zmęczony, że dopiero wychodząc zauważam brak czapki. Miałem ją w ręku i zgubiłem. Jakże wyjść na deszcz, w listopadzie, z gołą głową? Ale jest przecież punkt rzeczy znalezionych. Bardzo wymalowana starsza pani zniecheca mnie od razu. — „Przecież pan widzi, ilu tu Chorwatów i Turków. Oni **na pewno** żadnej znalezionej rzeczy nie zwrócą..."

Właśnie. Gdyby to było w NRD, zalanej do niedawna tłumami naszych rodaków, zamiast „Chorwatów i Turków" pani w okienku wymieniłaby na pewno Polaków. Najgorsi są zawsze ci obcy, ci nie nasi przybyli nie wiadomo po co i zakłócający dobre samopoczucie tubylców. Za kurczowo oszczędzane marki kupuję nową, byle jaką czapkę. Jutro do Monschau.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Wkrótce po zakończeniu obrad XXVI Zjazdu KPZR, na którym przedłożono nowe, omawiane na tym miejscu propozycje pokojowe, **L. Breżniew wystosował listy do prez. Reagana i innych przywódców państw zachodnich.** Ich treść nie jest dokładnie znana, ale rzecznicy kilku rządów ujawnili że listy te zawierają konkluzję Zjazdu w sprawach polityki zagranicznej — rozbrojenia i łagodzenia międzynarodowych napięć. Wszędzie ich treść jest obecnie uważnie analizowana, a ze źródeł włoskich wiemy, iż będzie konsultowana w EWG i NATO. **Pierwsze reakcje są przychylne.** Tak np. rząd Forlaniego podał do wiadomości, że w aktualnej skomplikowanej sytuacji międzynarodowej pragnie przekazać odpowiedź „konstruktywną i zgodną z zasadami, jakimi tradycyjnie kieruje się polityka zagraniczna".

Radzieckie inicjatywy omawiane były w czasie wizyt zachodnich mężów stanu, jakie składali w Waszyngtonie. Prez. Reagan spotkał się już z politykami Włoch, W. Brytanii, Francji, RFN, a także Kanady. Ostatnio z Waszyngtonu nadeszła nieoficjalna informacja, **że szczyt radziecko-amerykański będzie mógł odbyć się pewnie nie wcześniej niż pod koniec lata.** Za określeniem tym kryje się podobno możliwość spotkania L. Breżniewa i R. Reagana gdzieś w drugiej połowie lipca.

Stany Zjednoczone zapowiedziały, że chcą przeprowadzić konsultacje ze swoimi sojusznikami z NATO na temat podjęcia rozmów ze Związkiem Radzieckim o ograniczeniu broni średniego zasięgu w Europie. — Nowa administracja — podkreśla Reuter — zdaje sobie bowiem sprawę z niepokojów Europy zachodniej i jej uczulenia na niektóre problemy. Większość rządów uważa, iż **w sensie politycznym nieodzowne jest kontynuowanie rozmów ZSRR—USA**, ponieważ stanowią one część kontrowersyjnych decyzji NATO w sprawie zmodernizowania uzbrojenia przez rozmieszczenie w zachodniej strefie kontynentu 600 pocisków „Cruse" i „Pershing II". Zdaniem niektórych obserwatorów, rozmowy te mogłyby rozpocząć się za dwa, trzy miesiące, jeśli wyrazi na ten termin zgodę ZSRR. W kołach politycznych Brukseli nie ma jednak pewności, czy będzie to już rzeczywisty początek rokowań, czy też kontynuacja „rozmów o rozmowach", rozpoczętych w październiku ub. roku w Genewie.

Z tego wszystkiego, co napisaliśmy powyżej, wynika jedno: **Związek Radziecki przejął inicjatywę**, jego propozycje ożywiły działalność dyplomatyczną i zmuszają Zachód do udzielenia rychło odpowiedzi, która nie może być negatywna.

W ub. tygodniu z nadzieją odnotowano **osiągnięcie pierwszego porozumienia na konferencji madryckiej**, które odnosi się do zwołania w przyszłym roku konferencji, poświęconej bezpieczeństwu obszaru Morza Śródziemnego. Odbędzie się ona w Wenecji.

Przez 13 roboczych tygodni obrad w stolicy Hiszpanii dotychczas nie udało się uzgodnić stanowisk w innych sprawach. **Spotkanie więc przedłuży się**, gdyż delegaci 35 państw, uczestniczących w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, mają zająć stanowisko wobec 87 propozycji. Dla ułatwienia prac delegacja Polski wysunęła projekt, aby zgłoszone wnioski podzielić na trzy kategorie: do przyjęcia, do negocjacji i do odrzucenia.

Impas w rozmowach jest funkcją stanu stosunków Wschód-Zachód a zwłaszcza stosunków między ZSRR i USA. Dlatego czynnikiem przełamującym wytworzoną sytuację mogą być radzieckie propozycje ze Zjazdu. Niektórzy komentatorzy nawet twierdzą, że osiągnięcie pierwszego porozumienia w Madrycie jest tego przykładem. Czy teraz już wydarzenia potoczą się szybciej i spotkanie zostanie zakończone przed świętami Wielkanocy, jak się przewiduje, przekonamy się w najbliższych dniach.

Skoro już o rokowaniach i spotkaniach mowa — odnotujmy, że w piątek rozpoczęło się w Wiedniu spotkanie 11 ministrów Spraw Zagranicznych, którego celem ma być **przygotowanie szczytu Północy i Południa.** Z ideą wznowienia dialogu uprzemysłowionej Północy z opóźnionym w rozwoju Południem wystąpił swego czasu prezydent Austrii — B. Kreisky. Podczas pierwszego spotkania w listopadzie ub. roku ustalono wstępnie, że szczyt mógłby zebrać się w czerwcu. Teraz z różnych powodów termin ten jest podważany. W spotkaniu wzięliby udział przedstawiciele 20—25 krajów. Panuje dość powszechne przekonanie, że należałoby zaprosić na nie również przywódców ZSRR, USA i Chin.

Nie ustalono dotychczas porządku dziennego spotkania. Czy ma ono ograniczyć się tylko do spraw wymiany handlowej, problemów surowcowych i energetycznych, czy też w otwarty sposób ma stanąć problem zwiększenia pomocy finansowej dla tzw. Trzeciego Świata.

W. SŁAWSKI

O TAŃCZENIU

Obejrzałem w telewizji polski film „Hotel klasy „Lux" — i przyszedł mi do głowy temat, który aż się prosi o rozprawę doktorską. Rozprawa ta mogłaby mieć tytuł: „Bal jako symbol wszelkiej ohydy i wynaturzeń społecznych w polskiej literaturze i sztuce", albo „Bal jako idealny wyzwalacz kontestacji", „Rola tańca w ujawnianiu rozkładu moralnego" czy jeszcze coś w tym rodzaju. Jeśli wielki bal — to na pewno konfrontacja uczciwych, pozytywnych, dobrych, skromnych, tragicznych bohaterów z durnymi, podłymi, sprzedajnymi, cudzołożnymi kukłami. Gorzej: jeżeli twórca ma skonfrontować „surową prawdę", „prawdziwe wartości", „moralne pryncypia" z błazeństwem, rozpustą i draństwem, to prawie na pewno wprowadzi do swego dzieła scenę balową. To jest koncepcyjna łatwizna, samograj, kicz: ta sierotka moknąca za oknem i ten spocony lubieżny staruch z piękną a półnagą lalą na błyszczącym parkiecie.

W „Oziminie" Berneta wytworne towarzystwo baluje, gdy ulicą ciągną szeregi na front rosyjsko - japoński. Ten bal jest zwornikiem całej powieści, jej sceną kulminacyjną, tak samo jak mazur tańczony nad ranem w „Popiele i diamencie", gdy rozdarty tragicznie Maciek Chełmicki idzie na swoją ostatnią śmiertelną akcję.

W „Domku z kart" Zegadłowicza snobistyczne towarzystwo warszawskie podryguje w groteskowym rytmie lambeth - walka gdy ludzie na mieście czytają plakaty o mobilizacji. Generały i ministry strzelają korkami od szampana, a tu Polska się pali...

W „Kontrakcie" Zanussiego właśnie wielki weselny jubel jest potrzebny do tego żeby ujawnić bezdenne zalganie wszystkich bez wyjątku bohaterów. We wspaniałym wierszu Lechonia — „Mochnackim" — wspomnienie o Insurekcji poraża nagle balujące wytworne grono.

Co powstanie, co wojna, co kataklizm — to bal. Co bal — to katastrofa. Przy tym wszystkim coraz więcej leje się wódy. Goście „Wesela" nie pili prawie wcale, przynajmniej na scenie. Zaczęli pić na weselu Boryny. W „Kontrakcie" i w „Hotelu klasy Lux" alkohol leje się już nieprzerwanym strumieniem. Leje się ciurkiem do gardeł tych złych, i tych dobrych, dopiero gdy zamglą się oczy, spadną z ramion marynarki, skołtunią fryzury dam — dopiero wtedy zaczynają dobywać się ze ścisniętych gardeł jakieś echa „drugiego dna", jakaś tragiczna czkawka prawdziwych ludzkich przeżyć.

Nie chcę tu niczego oceniać i wartościować. Chciałem tylko zwrócić uwagę na powtarzający się w naszej sztuce motyw, a każde powtarzanie przechodzi przecież wreszcie w jakąś regularność, bądź też jest wyrazem jakiegoś ogólniejszego prawa Może w naszej polskiej rzeczywistości do obiektywnych praw należą i takie:

— prawdziwy, dzielny Polak nie tańczy, bo jego ojczyzna cierpi,

— Polak jest prawdziwy dopiero wtedy, gdy się urżnie. Prawdziwy — to znaczy hamletyzujący, tragiczny gotów skakać w przepaść, tylko nie gotów dopiąć spodni i zająć się czymś nudnym...

ĆWIEK

Rys. Walerian Domański

PIŁKA I PIENIĄDZE

Ruszyła pierwsza liga. Zawsze to budziło zainteresowanie. Piłka nożna jest sportem popularnym. Początek wiosennej rundy zwiastuje wiosnę, jest już zapowiedzią wyjścia sportowców na boiska. Do tej pory rozgrywki i zawody odbywały się w halach. A jednak na piłkarskich stadionach nie było nazbyt tłoczno. Jak obliczyła Polska Agencja Prasowa na 8 stadionach było 81 tysięcy widzów. Dużo to, czy mało?

Gdyby popatrzeć na to od tej strony, że ludzie mają ważniejsze sprawy na głowie, a mimo to znaleźli czas na kibicowanie swoim zespołom, to dużo. Ale jeśli spojrzeć z drugiej strony, że piłka nożna zawsze budziła sporo zainteresowania, a na inauguracyjnych meczach było tylko 81 tysięcy widzów, to mało. Dlaczego? Czy tylko dlatego, że poziom naszej ligi jest niezbyt wysoki? A może dlatego, że wiele zakładów odmowiło płacenia na sport, i stąd ta absencja? Nie płacą i nie chcą się interesować? A poza tym mecze można obejrzeć w telewizji.

Do redakcji sportowej TvP dotarła jakby odnowa. Do tej pory tylko radiowe „Studio S 13" robiło przegląd tego, co dzieje się na wszystkich boiskach piłkarskich jednocześnie. Można więc było siedzieć sobie przy radiu i wedzieć, gdzie, kto i jak gra. Teraz na podobny sposób wzięła się do roboty telewizja. Siedząc w fotelu przed telewizorem można było obejrzeć 10 grających drużyn. Nie wiem, czy wszystkim będzie się podobało to, co zrobiła telewizja. Mnie się podoba. Lepsze to, niż transmisja jednego, wybranego i najczęściej nie trafionego meczu. A tak ma się przynajmniej pogląd na to, jak gra każda niemal drużyna. Można było zobaczyć między innymi nie najlepszą grę Widzewa. Widzewska jedenastka nie najlepiej zaczęła wiosenny sezon. Jak się chłopcy nie wezmą ostro do roboty, to marzenie o mistrzowskim tytule pozstanie tylko i wyłącznie marzeniem. Legia i Wisła, które to obie drużyny są w dobrej formie, w tabeli nie zajmują odległych pozycji. Legia jest trzecia, a Wisła czwarta. Mogą Widzew dogonić. Bałtyk — zajmujący drugą pozycję w tabeli — też nie wydaje się być w najlepszej formie. W ogóle wiele drużyn zaczęło ten sezon jakby w osłabieniu. Czym się to tłumaczy? A i tym, że w klubowych kasach nie ma pieniędzy, nie było więc za co wyjechać do krajów o cieplejszym klimacie i tam solidnie przygotować się do wiosennego sezonu. I tym również, że teraz nie najlepszy klimat dla sportu.

Sport był na garnuszku wielkich i małych fabryk. Państwo samo sportu nie utrzyma. Dotowały więc sport również związki zawodowe. Ruch związkowy się rozsypał, podzielił. Załogi wielu fabryk wypowiedziały się przeciw płaceniu na swoje kluby. Ludzie nie chcą się opodatkowywać, uważają, że to nie ma sensu, nie godzą się na tolerowanie „lewych etatów". Ale sportowcy też ludzie. Kartki na mięso gdzieś muszą dostawać. Również bony na cukier. A także pieniądze skąś muszą brać na utrzymanie siebie i rodziny. Kluby muszą mieć pieniądze na utrzymnie obiektów sportowych: stadionów, basenów, boisk, gabinetów odnowy. Potrzebne są pieniądze na opłacenie gospodarzy i robotników, którzy zajmowaliby się konserwacją urządzeń sportowych i boisk. Nie jest to wszystko takie proste jakby się wydawało.

Tygodnik „Piłka Nożna" zwrócił się do przedstawicieli różnych związków zawodowych: „Solidarności", branżowych i autonomicznych z pytaniem, jakie widzą wyjście dla utrzymania sportu. Z wypowiedzi zamieszczonych na łamach tygodnika jedno wynika pocieszające. Wszyscy uważają, że trzeba znaleźć takie rozwiązanie, aby sport u nas nie podupadł. Uważają, że musi się on oczyścić z wszelkich aferzystów, kombinatorów, pseudodziałaczy, że musi stać się masowy. To ładnie. Ale bez pieniędzy ani rusz. Skąd więc brać pieniądze? I tu zdania są podzielone. eJdni spodziewają się, że jak zostanie rozparcelowany „spadek" po CRZZ, to i pnieniądze na sport się znajdą. Ale, ktoś rozsądny, zwrócił uwagę, że „spadek" nie jest taki znów wielki, a czekających na podział sporo. Dla sportu może nic nie zostać. Trzeba więc szukać innych rozwiązań. Propozycje zresztą są bardzo różne, ale problemu w całości nie rozwiązują.

„Ratunek" przyszedł jakby niespodziewanie z zupełnie innej strony. Oto łódzki klub Włókniarz i ŁZPB im. Obrońców Pokoju podpisały umowę o wzajemnych usługach i świadczeniach. Klub będzie troszczył się o zdrowie fizyczne załogi i młodzieży, a fabryka będzie utrzymywała majątek klubu, oddeleguje do konserwacji urządzeń 22 pracowników, będzie pokrywała wydatki klubu. Okresowo obie strony będą oceniały realizację umowy o współpracy. I tak w przypadku Włókniarza problem został rozwiązany. Może to jest sposób? Może i inni spróbują znaleźć podobne rozwiązanie?

BOGDA MADEJ

LITERATURA NA MAŁYM EKRANIE

Na tle innych sztuk, teatru, filmu, plastyki, architektury, muzyki, tańca, które w przekazie telewizyjnym zyskały potężnego sojusznika, literatura wciąż nie może znaleźć na małym ekranie miejsca, odpowiadającego jej randze w kulturze. Istniały jakieś komitety współpracy telewizyjnych decydentów i pisarzy, formułowano jakieś rezolucje, odbywały się zapewne jakieś dyskusje. Dotąd jednak te wszystkie działania — z rozmaitych teraźniejszych wypowiedzi wynika, że przeważnie o pozornych skutkach — nie doprowadziły do ukształtowania się zadowalającego modelu istnienia literatury w telewizji. Przede wszystkim dlatego, że literatura jako sztuka zawiera się wyłącznie i bez reszty w słowie, w jego stylistyczno-strukturalnych uwarunkowaniach, jednym słowem w tworzywie nader skromnym i ascetycznym jak na możliwości przekazu telewizyjnego. Jak pokazać literackie dzieło sztuki w tv, tak aby nie zatraciło ono swojej literackości? To pytanie może poniekąd rozgrzeszać redaktorów i telwizjotwórców. Powtarzam: „może" i „poniekąd". Sądzę bowiem, że TvP w zbyt minimalnym i mało konsekwentym stopniu (nie mówiąc już o uporczywości) czyniła wysiłki, aby przełamywać opór tworzywa literackiego, wobec specyficznych mechanizmów przekazu telewizyjnego. Owszem istniały kiedyś próby upowszechnienia współczesnej poezji polskiej. Myślę tu przede wszystkim o kilkunastu audycjach według scenariuszy Witolda Rutkiewicza i Stanisława Grochowiaka poświęconych Białoszewskiemu, Herbertowi, Harasymowiczowi, Iredyńskiemu i innym. Także o, nie tak dawno nadanej, „Mapie pogody" Jarosława Iwaszkiewicza w realizacji Andrzeja Łapickiego oraz o widowisku Stefana Szlachtycza według erotyków Bolesława Leśmiana. Ktoś powie, że poezja była w tych programach jedynie scenariuszowym fundamentem dla konstrukcji wielotworzywowego, integralnego i oryginalnego widowiska, które funkcjonuje już w obrębie innej niż literacka sztuki. Zgoda. Jednak, jak powiedziałem, jest to jedynie możliwy sposób istnienia literatury w przekazie telewizyjnym. Owszem, od pewnego czasu TvP wprowadziła program „Poeci recytują wiersze". Jest on formą spotkania autorskiego, gdzie słowo nie poddawane żadnym zabiegom przekładu na obraz, dociera do słuchacza w swoim naturalnym kształcie. Zarówno pierwsza formuła — telewizyjnej translacji, widowiska, jak i druga — ascetyczna i bliższa naturze poetyckiego słowa, o tyle spełni swoją funkcję upowszechnienia literatury, o ile będzie stałą, konsekwentną i odpowiedzialną troską telewizyjnych programistów, a nie okolicznościową dekoracją. Dobrze byłoby zatem, aby w niedzielnych autorecytacjach wystąpili poeci, których nazwiska rzeczywiście znaczą we współczesnej geografii literackiej w Polsce, bo niekiedy znajduję w programie autorów o jakich da-li Bóg nie słyszałem, choć jako tako w literaturze się orientuję.

Jakkolwiek poezja może jeszcze zaistnieć w tv bez szkody dla swoich wartości, tak proza, powieść i inne gatunki docierają na mały ekran w formie zhomogenizowanego obrazu, w formie filmowych trawestacji i przeróbek. I nawet najlepszy tego typu zabieg nie jest w stanie zastąpić oryginału literackiego. Zatem można byłoby powiedzieć: pozostawmy literaturze jej tradycyjne, a właściwe formy odbioru, niechaj telewizja w sposób mądry pośredniczy w tym odbiorze. Otóż to. Choć TvP miała w tym zakresie pewne zasługi („Spotkanie z pisarzem" „Kształt słowa", rozmowy w „Pegazie", audycje redakcji młodzieżowej, „Ex libris" i inne) to do dnia dzisiejszego trudno w tych inicjatywach dociec jakiejś porządkującej idei.

Aleksander J. Wieczorkowski prowadził niegdyś „Trybunę Literacką". Pamiętamy ją — niestety — nazbyt dobrze. Brali w niej udział ludzie bezsprzecznie inteligentni: ze swadą potrafili podjąć każdą błahostkę, i obracać ją z miłością szlifierza diamentów (fałszywych). I redaktor Wieczorkowski zawsze wychodził na swoje. Teraz gdy zmienił tytuł audycji na „Rozmowy Literackie" i zaprosił krytyków, dla których telewizja nie jest świątynią, gdzie należy wypowiadać formuły o ograniczonej leksyce (Jacek Bochenski, Andrzej Kijowski, Tadeusz Drewnowski, Andrzej Szczypiorski), program diabli wzięli. Krytycy nie zechcieli uszanować telewizyjnej konwencji, a redaktor Wieczorkowski, jak sądzę, głęboko westchnął z ulgą, gdy audycja się skończyła. Kolejna rozmowa (w ostatnią środę) również się nie udała. Kazimierz Koźniewski miast wspierać prowadzącego audycję (jej tematem był mecenat), który przygotował odpowiedni scenariusz dyskusji, jej końcowe wnioski, stanął okoniem i zaprezentował stanowisko nie mieszczące się w tym scenariuszu. Nie będę już oglądał rozmów literackich. Po pierwsze dlatego, że w żadnym stopniu nie dotyczą literatury jako dziedziny sztuki poszukującej i wyrażającej określone idee. Po drugie dlatego, że problematyka tychże „rozmów" skupia się na marginaliach, choć sugeruje tematy niby — fundamentalne (np. czy literatura ma rację bytu?). Po trzecie dlatego, że obawiam się, iż redaktor Wieczorkowski będzie spraszał tzw. „postaci telewizyjne" jak było to w przypadku „Trybuny Literackiej", a nie twórców decydujących o wartościach naszej powojennej literatury. Po czwarte wreszcie dlatego, że sam prowadzący ucieka najczęściej w felieton i uładzone pustosłowie. Czas i o literaturze mówić poważnie. Także w TvP.

GRZEGORZ GAZDA

ZIARNKO PIASKU

Przed kilku laty zakończyłem w „Odgłosach" drukowanie cyklu felietonów „Bez Strachu". Ostatni felieton nazywał się „Jady" i ten felieton mnie zmartwił. Zaprzyjaźnieni paranoicy zasyczeli. Zaprzyjaźnieni paranoicy podbiegali do mnie na ulicy, załamywali ręce, rozdzierali szaty.

Obok zaprzyjaźnionych paranoików płaczliwych, był zaprzyjaźniony paranoik groźny. Ten krzyknął: „A więc może nareszcie pokazałeś właściwe oblicze — godzisz w podstawę naszego bytu!". Następnego dnia odwiedziłem owego paranoika — już nie był gniewny, był przerażony. On, paranoik, nie wydał nigdy takiego okrzyku — to ja podlegam omamom słuchowym. Śmiałem się i smuciłem. Była chwila, że uwierzyłem, iż jestem demonem wstrząsającym podstawy spraw zasadniczych, pochlebiało to nawet mojej próżności. Tej samej próżności, która obecnie odrywa mnie od ziarnka piasku i każe pisać o sobie...

Podobnie jak każdy człowiek, zwierzę i przedmiot, ziarnko piasku bytuje w przestrzeni ludzkiej, jest w przestrzeni ludzkiej rozciągłe, oporne i zasadniczo poznawalne. Jest oporne, oczywiście, wobec człowieka, jest poznawalne, oczywiście, dla człowieka.

Zdaniem większości ludzi zamieszkujących starą ziemię, ziarnko piasku wcale nie jest pozbawione walorów psychicznych, zadatków psychicznych. Tak mniemają wszyscy paupsydziści, do których zaliczają się wszyscy wyznawcy buddyzmu, wszyscy wyznawcy hinduizmu, myśliciele europejscy ze Spinozą, Berkeley'em, Leibnizem, Giordanem Bruno i genialnym fizjologiem, Bechterewem(którego odkrycia niesłusznie przypisano Pawłowowi) na czele. Wyznawcy Chrystusa, Mahometa i judaizmu po prostu nie wiedzą, co z ziarnkiem piasku począć i najczęściej próbują je podarować Szatanowi. Szatan jednak nigdy nie wypowiedział się w kwestii, czy ziarnko piasku bierze do swego i tak już bardzo rozległego księstwa. Zatem, ziarnko piasku, takie czy inne, pozostaje z ludźmi i jest ludzkie. Ziarnko piasku sprytnie milczy i ludzie zabierają głos w imieniu ziarnka, chwalą je i ganią — ostatnie słowo należy do ziarnka. Słowo to wcale nie będzie bagatelne, jeżeli uprzytomnimy sobie, że żyjemy otoczeni powietrzem, wodą i piaskiem. Potęgę piasku znają ci, którym przypadło brnąć przez pustynie. Piasek wielu zgubił i wielu ocalił. Piasek przesypuje się w lufach porzuconych dział i w czaszkach niepogrzebanych ludzi.

Kiedy powieją groźne wiatry, pustynia wciśnie się w nasze usta, w oczy, w nosy, w uszy i w trzewia. Dlatego może jeszcze raz należy obłaskawić ziarnko piasku. Przyniesie nam to wiele twórczego smutku i wiele samego szczęścia. Ziarnko piasku wpada do muszli morskiego zwierzaka, nęka go i tak wśród niewysłowionych katuszy powstaje perła. Żyjemy otoczeni powietrzem, wodą, piaskiem i perłami.

BERNARD SZTAJNERT

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicysci 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00 958 Warszawa, al. Towarowa 28 konto NBP XV odd. 1al w Warszawie nr 1153 201045 139 prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 551. K-2.